

# TYGODNIK LITERACKI

Nr 12 (26) ■ Rok II ■ 24 MARCA 1991  
ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

DROGA BOHDANA CYWIŃSKIEGO ■ FALUDY - PROZA ■ SHOAH PO POLSKU? ■ KANTOR I INNI (2)  
■ WALLACE STEVENS - WERSZE ■ SZOSTAKOWICZ I PANUFNIK - KOMPONOWANIE PRZESZŁOŚCI  
■ RZEŻBY MAGDALENY ABAKANOWICZ ■ BLIŻEJ SKRZATA! ■ RADEK SIKORSKI - „DO POLITYKI”

Radek Sikorski

## Czekanie na telewizję

Każdy kto był kiedyś gościem „Teleexpressu”, wie w jak prymitywnych warunkach ten świetny program jest tworzony. Sympatyczne panienki pudrują się w mrocznym loszku wykładanym kafelkami jak u rzeźnika, z gołymi żarówkami i zdezelowanym fotelem dentystycznym. Olejnicza luszcz się w łazience dla gości, papier toaletowy klasy IV zatknięty na kołku. Małe, obskurne studio, walające się rekwizyty, kamery pamiętające Rewolucję Październikową, dwudziestoletnie monitory.

Jednocześnie osobowość prezenterów i zmysł medium telewizyjnego reżyserów pokonują wszelkie przeszkody. Jak cała Polska wie, „Teleexpress” jest dziarski, informatywny i przekorny. Dzień w dzień, od dobrych paru lat, miliony ludzi doczekać się nie może siedemnastej piętnaście. W normalnym kraju, rywalizujące stacje

z kwalifikacjami do pracy w zieleni miejskiej. Nawet na kawę dla gościa w pobliskiej speluncie musząłożyć z własnej kieszeni. Podejrzewam, że jedyne co ich trzyma, to chęć zrobienia sobie nazwisk i nudzieja na doczekanie lepszych czasów.

„Teleexpress” nie jest w polskiej telewizji wyjątkiem lecz wycinkiem, drastyczniejszym jedynie dlatego, że różnica między warunkami pracy a jej rezultatem jest tak wielka. Nie wszędzie daje się czynić cuda. Warunki w pozostałych koloniach imperium PRiTV są takie same, jedynie efekt gorszy.

Polska telewizja jest organizacją unikalną w skali światowej. Gdzie indziej na świecie istnieje firma, która posiadając monopol na jeden z najlucracyjniejszych produktów wymyślonych przez człowieka, potrafi utrzymać swych pracowników płacąc im pobory, które

– Wrócił Pan stosunkowo niedawno do kraju po ośmiu latach przebywania na emigracji. Jak się okazało powrót do Polski nie oznaczał w Pana przypadku spodziewanego przez wszystkich powrotu do aktywnego uczestnictwa w życiu politycznym...

**Bohdan Cywiński:** Pierwszy raz przyjechałem do kraju w sierpniu 1989 roku. Spędziłem w Polsce dwa miesiące. Zastanawiałem się, co mógłbym tu robić po powrocie. Szukałem takiego środowiska, które nie byłoby do końca zepsute przez system komunistyczny. Pomyślałem sobie, że najbardziej odporna na komunizm powinna

myślu, dokąd przywiódło mnie istnienie prężnego środowiska skupionego wokół bi-skupa Tokarczuka. Pojechałem także na Podlasie, ale tam z kolei czekałoby mnie praca u podstaw. Wreszcie trafiłem na Suwalszczyznę, gdzie zastałem środowisko i ciekawe, i aktywne, skupione wokół zupełnie swoistej wyższej uczelni – Ośrodka Studiów Teologicznych w Suwałkach, gdzie systemem zaocznym uczy się teologii paraset osób świeckich. Niedługo namyślając się kupiłem w okolicy młyn. Jestem więc młynarzem, miałem zboże, a jednocześnie pracuję jako wykładowca. Piszę i żyję sobie spokoj-

## Droga

rozmowa z Bohdanem Cywińskim

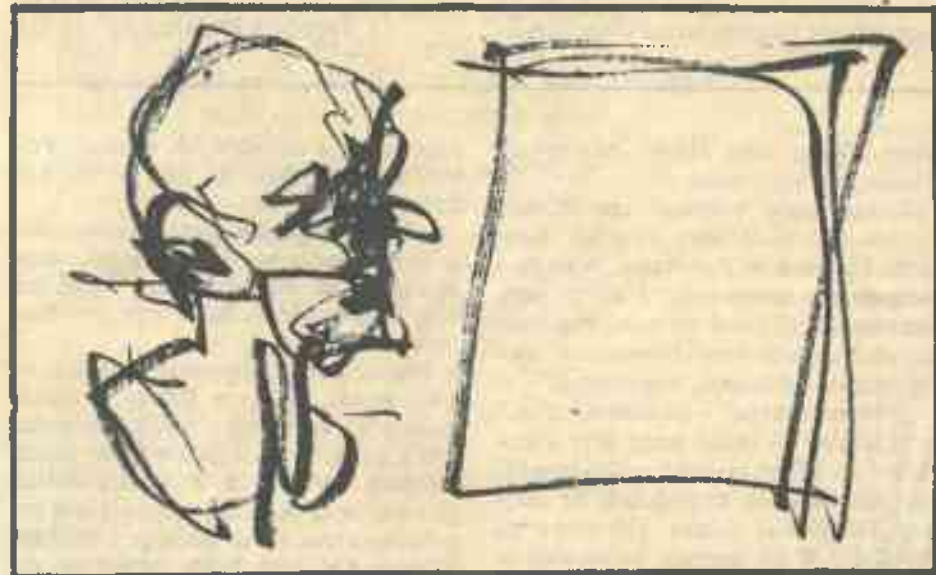
być warstwa chłopska. To rozwiązanie wiązałoby się z kolejną rewolucją w moim życiu, a mianowicie z pożegnaniem z miastem i przeprowadzką. Zaczęłem się rozglądać. Żył jeszcze wtedy mój wielki przyjaciel Adam Stanowski, człowiek, któremu ideowo zawdzięczam od młodości bardzo wiele. Zatem pojechałem na Lubelszczyznę. Interesowały mnie między innymi reaktywujące się Uniwersytety Ludowe. Byłem potem w okolicach Stalowej Woli, gdzie powstała filia KULu i bardzo ciekawe duszpasterstwo rolników, stanowiące swego rodzaju ośrodek życia publicznego chłopów w latach osiemdziesiątych. Byłem w Prze-

nie nie zrywając jednak kontaktu z Warszawą, gdzie mam mieszkanie, a w nim część rodziny.

– *Stanowisko Pana wobec najważniejszych wydarzeń politycznych roku 1989 było raczej nacechowane dystansem i powściągliwością. W związku z tym rodzi się pytanie czy nie czuje się Pan zaskoczony tempem oraz licznymi przemianami politycznymi aktualnie dokonującymi się w Polsce?*

– Zdziwienia historycznego, że się tak wyrażę pozbyć się trudno. Kiedy w trakcie wyborów prezydenckich wyrzekałem na wzajemne skłócenie w łonie wyrosłych we

dokończenie na s. 14



JERZY ZYSKO

podkupowałyby sobie pannę Mikołajczak czy pana Sierockiego za krociowe sumy. Autorzy tak popularnego programu byłiby szybko bogatymi ludźmi, jednak nie tak bogatymi jak stacja, która zainwestowała w jego wylansowanie a potem zbierała dochód od cisnących się drzwiami i oknami agencji reklamowych.

Natomiast dziennikarze „Teleexpressu” zmuszeni są do traktowania swej pracy jako hobby, na pensjach, którymi dziś gardzi bezrobotny

nico tylko przewyższają koszty dojazdu do pracy? Dlaczego polska telewizja musi zatrudniać ponad dwanaście tysięcy pracowników, gdy stacje produkujące podobną ilość godzin programowych w innych krajach zatrudniają kilkuset? Jak to jest, że w innych krajach, w warunkach ostrej konkurencji stacje telewizyjne potrafią nie tylko utrzymać się z reklam ale i być zylami złota dla swych akcjonariuszy.

dokończenie na s. 15

BOHDAN CYWIŃSKI (urodzony w 1939 roku w Milanówku pod Warszawą) – publicysta, naukowiec, działacz społeczny. Studiował polonistykę na UW i filozofię na KUL. W 1973 roku uzyskał doktorat na Wydziale Filozoficznym ATK. Pracował w miesięczniku „Znak”. Współpracował z niezależnym wydawnictwem „Głos”. W sierpniu 1980 roku został ekspertem MKS Stoczni Gdańskiej i redagował większość dokumentów porozumienia gdańskiego. W 1981 roku objął funkcję zastępcy redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”. W roku 1981 wyjechał do Rzymu na stypendium naukowe. W latach 1982–1990 przebywał na emigracji. W tym czasie uczestniczył w trzech kolejnych konferencjach Międzynarodowej Organizacji Pracy. W 1983 roku odczytywał na Forum Europejskim wypowiedź Lecha Wałęsy po otrzymaniu Pokojowej Nagrody Nobla. Współpracował z międzynarodowymi centralami związkowymi w Europie i Ameryce Łacińskiej. Założył pismo „Widnokrąg”. Prowadził Dział Kontaktów z Parlamentem Europejskim w paryskim „Kontaktie”. W 1990 roku wrócił na stałe do kraju. Mieszka na Suwalszczyźnie i w Warszawie. Opublikował *Rodowody niepokornych* – „Więź”, 1971; *...potęgą jest i basta* – „Krań”, 1981; *Ogniem próbowane T1* „Studium Papieskie”, Rzym 1982; *Ogniem próbowane T2* – Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie oraz Wydawnictwa KUL, Lublin 1990; *Wobec zorganizowanego kłamstwa politycznego* – Editions Spotkania, Paryż 1985; *Buenos dias America* – „Plus”, Białystok 1990. Otrzymał Nagrody: im. Kościelskich w 1972, im. K. Irzykowskiego w 1975, im. J. Strzeleckiego w 1991.



## przegląd kulturalny

W niedzielę 17 III w Domu Literatury w Warszawie rozpoczęło się pierwsze wspólne spotkanie pisarzy polskich z kraju i emigracji. Z zagranicy przybyło ponad dwudziestu twórców. Więcej miejsca poświęcimy temu wydarzeniu w następnym numerze „TL”. ■ Dr Jerzy Jarzębski (UJ) został laureatem tegorocznej nagrody literackiej im. Kazimierza Wyki przyznawanej przez wojewodę i prezydenta miasta Krakowa za wybitne osiągnięcia w dziedzinie eseistyki i krytyki literackiej. ■ Wkrótce ukaza się pierwsze tomy (622 *upadki Bunga i Pożegnanie jesieni*) przygotowywanej przez PIW edycji dzieł wszystkich Stanisława Ignacego Witkiewicza. Ma ona objąć zachowane pisma literackie, estetyczne, publicystyczne, filozoficzne oraz dostępną korespondencję Witkacego. ■ Ukazą się pisma wybrane Jana Kotta. Tadeusz Nyczek znalazł wydawcę. ■ 9 i 10 III trwał w Krakowie Zjazd Młodych Pisarzy zorganizowany przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Brało w nim udział ponad pięćdziesięciu twórców najmłodszej generacji, urodzonych po 1960 roku. ■ 8 i 9 III spotkali się w Kazimierzu nad Wisłą pisarze z Białorusi, Rosji, Ukrainy i Polski zaproszeni przez Fundację Kuncewiczów. W obradach na temat stosunków między sąsiednimi narodami, prowadzonych przez Stefana Bratkowskiego, uczestniczyli między innymi Mykola Riabczuk (poeta ukraiński), Sokrat Janowicz (białoruski poeta z Białegostoku), Bogdan Skaradzinski (publicysta). ■ 15 III Klub Księgarza (Rynek Starego Miasta) zapraszał na wieczór promocyjny z okazji wydania setnego numeru „Literatury”. ■ Do czerwca prezentowana będzie w warszawskim Muzeum Narodowym wystawa prac Tadeusza Makowskiego (1882-1932) przygotowana przez Muzeum Narodowe we współpracy z muzeum w Bochum (Niemcy), którego dyrektor Peter Spielmann jest miłośnikiem polskiej sztuki. Wystawa podzielona jest na dwie części - pierwsza prezentuje mało znane, wczesne prace artysty, druga natomiast pokazuje dojrzałego twórcę - tu zobaczyć można najbardziej znane obrazy Makowskiego. Do tej wspaniałej wystawy dołączono pięknie wydrukowany katalog. ■ Do końca marca w warszawskiej „Kordegardzie” oglądać można rysunki ołówkiem, rysunki-pastele, obrazy olejne i rzeźby Jacka Waltosia. Prace prezentowane są w dwu cyklach *Dr Freud bada duszę ludzką... i Ludzie Czechowa*, a cała wystawa nosi tytuł *Dr Freud bada duszę ludzką, na wygnaniu, w Hampstead, albo... dr Czechow gdzie indziej*. „Na czym polega paradoksalność martwych natur, z których składa się pokazywana przez Marię Tyniec instalacja?” Na to pytanie można sobie odpowiedzieć wybrawszy się na wystawę, która prezentowana jest w Galerii Promocyjnej w Staromiejskim Domu Kultury. ■ 15 III w krakowskim BWA otwarto wystawę *Francja dzisiaj*. Ekspozycja przygotowana przez Serge'a Lemoine'a ma przedstawiać tendencje artystyczne w malarstwie i rzeźbie francuskiej ostatnich dziesięciu lat. Warto zobaczyć i porównać z przeniesioną z Warszawy wystawą *Cóż po artyście w czasie mar-*

*nym?* ■ W warszawskiej Galerii ZAR (Związek Artystów Rzeźbiarzy) eksponowane są prace z VII Zimowego Salonu Rzeźby 1991. Zwyczcami Salonu są złoty medal - *Belkot* Jerzego Grygorczuka, srebrny - *Lazarz* Stanisława Szezechowicza i brązowy - *Pocahunk* Krzysztofa Jakubika. ■ Marian Marek Jaromski prezentuje swoje prace w Galerii Krytyków „Pokaz”. Wykonane techniką papierografii zebrane zostały w całość pod tytułem *Światło*. ■ Centrum Sztuki Współczesnej (Zamek Ujazdowski) otworzyło Galerię Dokumentu. Od 12 III można oglądać *Katalog-Spacery, obiekty, podróże, hotele i inne prace Biura Przewodników po Sztuce i Kulturze* Andrzeja Paruzela. ■ Także CSW zorganizowało przegląd najnowszych, awangardowych filmów angielskich z Londyńskiego Festiwalu Filmowego z 1989-1990 roku. Filmy pokazywane były 12 i 13 III. ■ Do 19 III w Czechosłowackim Ośrodku Kultury i Informacji obejrzeć można było siedem najlepszych filmów Jirego Menzla. ■ Złote Kaczki przyznał ogłoszony wyniki plebiscytu, w którym widzowie uznali: *Ucieczkę z kina „Wolność”* Wojciecha Marczewskiego za najlepszy film polski 1990 roku, Dorotę Stalińską zaś za najlepszą aktorkę. Najlepszym aktorem został po raz drugi Janusz Gajos, a najlepszym filmem zagranicznym *Stowarzyszenie Umarłych Poetów* Petera Weira. ■ Zostały także przyznane nagrody w Konkursie Polskich Filmów Reklamowych. Laureatami zostali Laco Adamik za „Queen of Saba”, Jacek Kępcik za „Sprzęt Kruppa” i Jacek Orlicz za „Farby, lakiery”. ■ W najbliższym czasie trafi na polskie ekrany głosny film Kevina Costnera *Dances with the Wolves*. ■ W warszawskim kinie „Wars” pokazywany jest piękny i mądry film Jacka Bławuta *Nienormalni*. ■ Zawieszony przez rok tygodnik „Film” został wystawiony na przetarg. ■ Na pierwszym festiwalu filmu środkowoeuropejskiego Krystyna Janda otrzymała nagrodę za rolę w *Prześluchaniu* Ryszarda Bugajskiego. Nagrodę przyznała jugosłowiańska sekcja Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych. Andrzej Wajda otrzymał dyplom za całokształt twórczości. ■ *Marcowe migdały* Radosława Piwowarskiego pokazano na festiwalu filmów o tematyce żydowskiej w Montpelier. ■ Po raz szesnasty zjechały do Krakowa teatry alternatywne z kraju i zagranicy, aby zaprezentować swoje przedstawienia w ramach Krakowskich Reminiscencji Teatralnych (14-17 III). Wystąpiło piętnaście teatrów, których najbardziej interesująca wydawała się „Grupa Chwilowa” z Lublina. ■ Tadeusz Nowakowski przyjechał do Krakowa, aby 15 III uczestniczyć w premierze spektaklu *Obóz Wszystkich Świętych* w Teatrze Słowackiego. Adaptacji powieści dokonali Iwona Bielska i Mikołaj Grabowski. Tadeusz Nowakowski ma zamiar także uczestniczyć w spotkaniu pisarzy emigracyjnych zorganizowanym przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i PEN-Club w Warszawie. ■ 23 III w łódzkiej Teatrze Wielkim odbędzie się premiera opery Mozarta *Dun Giovanni*. ■ Od 13 do 20 III przebywa w Polsce wybitny artysta teatru i pantomimy Walter Bartussek. Kierownik studia tańca i pantomimy, autor licznych prac poświęconych pantomimie odwiedzi Gdańsk, Gdynię, Kraków, Opole i Warszawę. ■ Światowa premiera najnowszej opery Krzysztofa Pendereckiego *Król Ubu* otworzy Monachijski Festiwal Operowy, który ma się odbyć w lipcu. ■ Bestsellery tego tygodnia: bezkonkurencyjny - *Jak to się stało* Mieczysława Rakowskiego. A poza tym - Cohn Forbes *Grecki klucz*, George Fox *Anok*, Tom Clancy *Polowanie na Czerwony Październik*, Karl E. Wagner *Kane*, *Wielki Sennik Babiloński*, *W kręgu znaków Zodiaku*.

M.M.

## sądy przesady

- Istnieje pogląd, że kultura musi jednak poczekać na lepsze czasy. Jako kwiatek zbyt kosztowny.

Życie nie zna próżni, także życie kulturalne. Najpewniej w puste miejsce wejdzie kontrkultura „kwadratowych”, która z coraz większą pewnością siebie i agresją atakuje na różnych polach. Są to ci, co w opozycji do „jajogłowych” nie czytają nawet gazet, „swoje” myślą, ulegają najgłupszym stereotypom, wiedzą kto nie-Polak, kto winien komu dokopać. Uosobienie cynizmu, zdegradowanej mowy i zdżiczenia. Na nich kiedyś zerowały ciemne siły systemu. Wciąż toczy się walka o duszę między różnymi siłami i stylami życia. (...)

- Czy elita tego kraju, która wówczas prowadziła „grę” o wolność, po spełnieniu swej historycznej misji czuje się przegrana?

Tak się tylko mówi. Ale kto przegrał? Jeśli był jakiś motor zmian prowadzących do demokracji, to właśnie ta elita. Autentyczna elita twórcza nigdy w pełni nie utożsamia się z żadną ekipą polityczną. Musi ją cechować - TRWAŁOŚĆ, poczucie HIERARCHII i właściwa MIARA RZECZY, bez których nie ma ani prawdziwego życia publicznego, ani prawdziwej sztuki. Oczywiście wyznaczanie miar i przypominanie o kryteriach, a co gorsza - posługiwanie się krytycznym rozumem, nikomu jeszcze nie przysporzyło przyjaźni. Elita nie może być ani wygraną, ani przegrana.

- Niemniej jest jakaś moda na antyelitarność. Mówi się w różnych miejscach: elitka, warszawka, salon, kawiarnia...

To jest „folklor użytkowy” nakręcany w pewnych kołach politycznych. Ma dość stary rodowód. Trzeba pamiętać, że Okrągły Stół był atakowany jako „zmowa elit” także przez twarde głowy. Niechęć do wszelkich elit zawodowych, inteligentnych czy robotniczych, które uosabiają prestiż i mają wpływ na swoje środowiska, jest w gruncie rzeczy zamaskowaną niechęcią do opinii publicznej.

- Teraz jednak ataki nabrały nowego wigo-ru. Populistyczny zaśpiew idzie z różnych stron. Skąd się to bierze?

Myszę, że z niechęcią do jakichkolwiek norm etyki społecznej, które kojarzą się z elitą, a nawet do ustabilizowanych form demokracji parlamentarnej. Popatrzmy prawdzie w oczy - nie wszyscy za demokracją przepadają. A jej przeciwnicy nigdy nie występują z otwartą przyłbicą. Wolą atakować elitarność, mafijność, salony... Populizm ma dziś rzeczywiście różne źródła i rodowody. W obecności tych, co pilnują miar i hierarchii, trudniej robić kariery ludziom „z elektrycznością w gębie”, jak to się mówiło w ubiegłym stuleciu. Dla tych ambitnych grup, jednostek ze skłonnościami do odrzucania wszelkich reguł gry, elita to jakiś bezsensowny areopag, który zawsze gotów jest wszcząć alarm. I co w tym jest: elity narażają się zarówno destabilizatorom, gdyż pilnują ciągłości, jak i zasiedzialemu establishment-

owi, bo wymuszają zmiany. Już choćby dlatego nie mogą być lubiane, a nazbyt „kochane” - tracą sens istnienia.

ARTUR MIEDZYRZECKI („Gazeta Wyborcza nr 64”)

- Stan wojenny w naszej kulturze był katastrofą...

Uważam, że ciągle powracania do stanu wojennego to jest pewna mitologia, a może potrzeba mitologii i heroizacja pokolenia, które zgniecione, pomalowane na szaro, nie miało w życiu żadnego okresu bohaterskiego, jak ich ojcowie i dziadkowie w czasie wojny czy po wojnie wobec komunizmu. Oczywiście, to była katastrofa - straszny wstrząs. Ilu Polaków wyemigrowało! Polemizowałem z tymi, co chcieli zapomnieć o wyrządzonych narodowi krzywdach i szermować pseudogodą narodową. Natomiast książki na ten temat niezliczone, ta mitologia, już mnie nuży.

Czy była to w kulturze katastrofa? Może odwrotnie, rozkwitła kultura niezależna. To, co dziś przeżywamy, to potworkowate wykluwanie się nowego życia, upadek więzi, struktur - nie zawsze niepotrzebnych - to jest może większy wstrząs i może większe niebezpieczeństwo. Poddanie się szmirze, dyktatowi pieniądza w kulturze. Bo mówią nawet złe rzeczy o minionym czterdziestolecu, należy pamiętać, że było w jego kulturze także zakamuflowane obronne przystosowanie, które potrafiło pewnych wartości - mimo wszystko - bronić i tworzyć je.

JACEK TRZNADEL („Rzeczpospolita” nr 64)

Złożyli niedawno wizytę w naszej redakcji redaktorzy pisma młodzieżowego „brulion”. Co my redaktorzy „Tygodnika” o „brulionie” sądzimy pytali, bo Jubileusz „brulionu”, bo „brulion” i w Radiu i w Telewizji niebawem zasiądzie i wszystkie środowiska się wypowiadają, więc i my mamy możliwość na temat „brulionu” się wypowiedzieć. (...)

Cisza się zrobiła, ale na chwilę, bo filar nasz niezawodny Rzecznik i Prezes (choć już Rzecznikiem ani Prezesem nie jest, ale dla nas jest i będzie zawsze) jak zwykle skrajnie rozumnie i wyrozumiale przemawiając zaczął.

- Chłopcy, powiada Prezes, rozumiem was. Wy młodzi jesteście i dla was świat jest piękny i pełen harmonii. Jak to powiada poeta „murrar domy buduje, krawiec szyje ubrania” i wy młodzi macie prawo tak sądzić, wy sądzicie, że u nas nieustannie modlitwy i pacierze trwają, że w „Gazecie Wyborczej” komisja co rano sprawdza gotowość urny i goździkiem wita pierwszego głosującego, że dajmy na to w „Tygodniku Solidarność” redaktorzy raz po raz chorągwie rozwijają, za ręce się biorą i stare pieśni nucą, i dobrze chłopcy, że tak sądzicie, bo pięknie by było gdyby tak było. Ale - tu Prezes głos wzmocił - świat jest skomplikowany i wy przecież już trochę o tym uczyliście się, już to i owo musieliście przecież przerabiać. Ja wiem, że od nauki wiele spraw odciąża, ja wiem, że wy w pileczkę się bawicie i doskonale, bawicie się w pileczkę, ja wiem - i nie ma co tego ukrywać - że wy już i dziewczętami zaczynacie się interesować, i dobrze interesujecie się, zwracajcie uwagę jak są inne, ale i na naukę, na naukę czas być musi, zakończył Prezes z mocą, a nam aż się klaskać zachciało tak dobrze powiedział.

JERZY PLICH („Tygodnik Powszechny” nr 11)

## lewa ręka

Jeśli chodzi o paktwo, to od orła w koronie zdecydowanie wolę kurę w rosolu.

Taką oto myśl wypowiedziałem niedawno w towarzystwie. Towarzystwo zamarło. Jedna z pań, która - sądząc z wieku - mogła była być sanitariuszką w powstaniu Spartakusa, zasyczała jak przydepnięta żmija: „no, pan to chyba nie katolik...”. „Nie, proszę pani” - odrzekłem - „jeden z moich przodków po kądzieli w czasie walk na Krymie został zgwałcony przez pewnego Gruzina i zmuszony do przejścia z tradycyjnego w swojej rodzinie arianizmu na szamanizm. Po mieczu przejął tradycję masoniów i okultystyczne, w dzieciństwie zaś byłem gorliwym, choć utajonym cyklistą.”

„Młodzi ludzie bardzo są teraz cyniczni” - odezwał się starszy pan o wyglądzie szlagona - „niczego nie uszanują. A już zwłaszcza gdy idzie o uczucia patriotyczne i cnoty tak drogie każdemu szczeremu Polakowi, nastąpiło spustoszenie moralne zgoła zastraszające. Za naszych czasów było to nie do pomyślenia. Pamiętam jak chłopcy z drużyny strzeleckich szli w niedzielne popołudnia na łąkę za miastem, gdzie pod moją komendą ćwiczyli baczność, spocznij...” „Pierdnij i odpocznij” - dokończyłem - „ku chwale Ojczyzny.” Znowu zapanowała konsternacja.

Przeciągając się ciszę przerwała panna Poraj-Rozwadowska, która podobno przed wojną miała romans z jakimś pułkownikiem.

Zanuciła skrzypiącym głosem znany kiedyś szlagier „Przybyli ułani pod okienko...”.

Poczułem wolę bożą i w rewanżu zanu-

ciłem „Witaj nam Polsko, myśmy są wojsko biało-czerwone...”.

Towarzystwo wymieniło porozumiewawcze spojrzenia. Siwy jak gołąb starszek, któremu w Powstaniu Warszawskim granat urwał ucho i od tej pory starszek posługiwał się mosiężną trąbką, wbił we mnie oczy i powiedział: „pan się nazywa Palusiński, nieprawdaz?”

„W rzeczy samej” - odparłem - „Jan.”

„Ciekawe” - cedził przez zęby starszek - „w moim majątku na Podolu był taki jeden Mosiek, co podobnie się nazywał. Handlował wódką, chłopstwo mi rozpijał... A jak przyszli bolszewicy to zaraz został jakąś figurą.”

„A jak rzeczony Mosiek się nazywał” - zapytałem.

„Nazywał się Paluch po matce, a z ojca był Sapicha, czy to nie jaki pański przodek, może wuj?”

„Nie, proszę pana. Tak się składa, że w rodzinie miałem same ciotki. Jedyny wuj zginął w bitwie pod Mandoliną, tej

największej z narodowych wiktorii. Po tem zresztą wyszło na jaw, że też był ciotką.”

„Zginął, powiada pan, ciekawe. Bo mojego Palucha spotkałem kiedyś w kazałach na Rakowieckiej. Wybił mi zęby w śledztwie. A ładne były, porcelanowe.”

Podano kawę. Towarzystwo zaintonowało pieśń „Boże coś Polskę”... Jeden z obecnych kombatantów zalał się łzami: „Ach, gdzież to ja mogłem w syberyjskich śniegach marzyć, że w wolnej Polsce kawusieńkę będę pił.” Łzy spływały mu po policzku i spadały na podłogę z wielkim hukiem. Od tego huków przecknął się śpiący na fotelu ratlerki i piskliwie zawył: „Powstań Polsko, zrzuć kajdany, dziś twój triumf albo zgon.” Po czym osunął się na fotel i najwyraźniej zdechl.

„Zginął na polu chwały” - zawołał kombatant, stuknął oficerkami i zasalutował. Towarzystwo powstało i uczciło ratlerka minutą ciszy. Wymknąłem się po angielsku.

Jan Palusiński



Julia Hartwig  
Artur Międzyrzecki

## Nasza antologia poezji amerykańskiej

# Wallace Stevens

### Vaillant Château

Czy źle, że przyszedł tu  
I zastał puste łóżko?

A mógłby ujrzeć rozburzone włosy,  
Napotkać gorzki wzrok, niechętnę, chłodne dłonie.

Światło mogłoby padać na otwartą książkę,  
Wskazując wiersz okrutny, jeden, albo dwa.

Mogłaby być samotność nieobjęta  
Wiatru w zasłonach.

Okrutny wiersz? To kilka słów, co dźwięczą,  
I dźwięczą wciąż, uparcie i bez końca.

Lecz jest inaczej. Łóżko stoi puste,  
Zastony sztywne, gładkie, ani drgną.

przełożyła Julia Hartwig

### Śmierć żołnierza

Życie wątleje i oczekuje się śmierci  
Jak w porze jesieni.  
Żołnierz pada.

Nikomui nie narzuci  
Trzydniowego obrządku  
Uroczystych pożegnań.

To absolutna śmierć bez pomnika,  
Jak w porze jesieni,  
Gdy cichnie wiatr

I chmury pchnięte podmuchem  
Ciągną jeszcze w swoją stronę  
Przez całe niebo.

przełożył Artur Międzyrzecki

### Prawdziwy sens rzeczy

Kiedy liście opadną, wracamy  
Do prawdziwego sensu rzeczy, to tak  
Jakbyśmy osiągnęli kres wyobraźni  
Zmartwiałej w obojętnej wiedzy.

Trudno nawet wybrać przymiotnik  
Dla tego wybladłego chłodu, dla tego smutku bez przyczyny,  
Wielki gmach stał się byle domostwem,  
Żaden turban nie kroczy po zmniejszonych podłogach,

Cieplarnia nigdy jeszcze tak bardzo nie wymagała malowania.  
Pięćdziesięcioletni komin przechylił się na bok.  
Niewiarygodny wysiłek zmarnowany, powtórzenie  
W powtarzalności ludzi i much.

A przecież już sama nieobecność wyobraźni  
Musiała być wyobrażona. Wielki staw,  
Prawdziwy jego sens, bez refleksów w wodzie, bez liści,  
Błoto, woda jak brudne szkło, wyrażająca milczenie

Szczególnego rodzaju, milczenie szczura wychodzącego na zwiad,  
Wielki staw i jego opustoszenie z lilii wodnych, wszystko  
Musiało być wyobrażone jako wiedza nieunikniona,  
Konieczna, wynikająca z konieczności.

przełożyła Julia Hartwig

### Suchy bochen

Żyć tu, w tragicznym kraju, czy żyć  
W tragicznym czasie to całkiem to samo.  
Spójrz teraz na te zbocza, na te strome skały  
I na rzekę tętniącą ponad kamieniami,  
Spójrz na lepianki ludzi, żyjących w tym kraju.

Tu malowałem spoza bochna chleba,  
Te skały jeszcze nawet nie tknięte przez śnieg,  
Sosny nad rzeką i tych wyschłych ludzi,  
Wzdętych, jak chleb brunatnych. Myślałem o ptakach  
Lecących z krain ognia i z brunatnych plaży,

Ptakach nadciągających jak spieniona woda,  
Płynących ponad skały i nad niebo, jakby  
Niebo było strumieniem, który je unosił  
I kruszył, tak jak kruszą się na brzegu fale,  
Jedna za drugą, obnażając zbocza.

To, co słyszałem, to był łoskot bębnow,  
To był głód, to krzyczeli ludzie wygłodniałi,  
A fale były żołnierzami w marszu,  
Idącymi, wciąż naprzód, przez tragiczny czas,  
Tam, niżej na asfalcie, pod drzewami.

To żołnierze szli naprzód, szli ponad skałami,  
I wciąż ciągnęły ptaki, fale ptasich stad,  
Ponieważ była wiosna i ptak musiał lecieć.  
Bez wątplenia żołnierze musieli iść naprzód  
I ktoś w te bębny musiał bić, bić, bić.

przełożył Jarosław Marek Rymkiewicz

## Wallace Stevens (1879-1955)

Wallace Stevens urodził się w Reading (Pensylwania) 2 października 1879 roku. Po studiach na Uniwersytecie Harvardzkim i w nowojorskiej Law School, pracował jako prawnik w Nowym Jorku (1904-1916), a następnie, od 1916, w towarzystwie ubezpieczeniowym Hartford Accident and Indemnity Company w Hartford (Connecticut). Prowadził tam spokojne życie urzędnicze i w okresie 1934-1955 był wiceprezeselem tej samej Hartford Company. Trzymający się na uboczu, stroniący od literackich sporów i niechętnie publikujący swoje utwory, zadebiutował późno: pierwsze wiersze ogłosił w „Poetry” jako trzydziestopięcioletni autor, pierwszy tom (*Harmonium*, 1923) – jako autor czterdziestoczworoletni. Sprzedano zresztą tylko sto egzemplarzy tego zbioru. Żywsze zainteresowanie krytyki i czytelników otoczyło go dopiero w latach czterdziestych. Pozostająca w kręgu Laforgue’a i Valéry’ego jego intelektualna i trudna twórczość – zauważa historyk literatury – była nieustającą próbą redefinicji języka i istoty poezji. Jeszcze wyraźniej objawiło się to w *Ideas of Order* (1935), następnym zbiorze, który ukazał się po dwunastu latach milczenia. Były to często wiersze o genezie i powstaniu wiersza, o jego tematycznych wariantach, kolejnych fazach i przemiennych wątkach. Wyobraźnia twórcza traktowana była jako siła porządkująca i nadająca sens beładowi widzial-

nego świata. Wiersz skrywał niekiedy – jak ktoś to ujął – pytanie o sposób istnienia wyobraźni. Utożsamiana z nią poezja była w tej strefie dociekań rzeczywistością najwyższą. Wiersz był „poematem umysłu, aktem odnajdywania tego, co ma wystarczyć” (O poezji nowoczesnej). Tom *The Man With the Blue Guitar* to rok 1937. W latach 1942, 1947, 1948, 1950, ukazały się kolejno *Parts of the World*, *Transport to Summer*, *Three Academic Pieces* i *Auroras of Autumn*. Siedemdziesięcioletni Wallace Stevens ogłosił tom wierszy zebranych (*Collected Poems*, 1954), dwa lata po jego śmierci ukazał się zbiór *Opus Posthumus*, w którym znalazły się, obok wierszy, trzy sztuki i fragmenty prozy (1957). Tom esejów *The Necessary Angel* wyszedł drukiem w roku 1951. Stevensa otaczała już wtedy poetycka sława, doceniano jego znaczenie „jako myśliciela, twórcy wielu doskonałych wierszy, poety o niezwykłym bogactwie wyobraźni, słowiarza”. Pamiętano również o jego aforyzmach. – Jestem tym, co mnie otacza – pisał. Albo jeszcze: – Przedmiotem wiersza jest poezja.

W Polsce wiersze Wallace’a Stevensa tłumaczyli: Adam Czerniawski, Leszek Elektrowicz, Julia Hartwig, Wacław Iwaniuk, Marek Jodłowski, Jan Leszcza, Artur Międzyrzecki, Czesław Miłosz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Teresa Truskowska.

Wiersze Wallace’a Stevensa ukazały się w wyborze, przekładzie i ze słowem wstępnym Jarosława Marka Rymkiewicza, Warszawa 1960.

J.H. i A.M.



**W**racam do naszej awangardowej gromadki w pięćdziesiątych latach. Wielokrotnie wspominałem już o tym okresie w moich tekstach. Nikt z nas (poza Andrzejem Wróblewskim, którego pamięci nie chcę bynajmniej tym zaciemniać) nie przyjął „nowej wiary” nawet na chwilę. Nikt z nas – powtarzam – nie zmówił nawet fałszywego *credo*, ani w jakikolwiek sposób nie starał się zostać inżynierem dusz ludzkich. Wszyscy, albo prawie wszyscy, pracowali „do szuflady”, niektórzy, mimo – łagodnie mówiąc – złych warunków, pracowali bardzo dużo. Kiedy przyszła odwilż nie musieliśmy odrabiać straconego czasu. Ale nie żyliśmy przecież w katakumbach, nie żyliśmy pod ziemią. Musieliśmy, chcąc nie chcąc, po niej chodzić. A chodzić po tym grząskim gruncie, tak aby się choć nie ubrudzić było trudno – było to wprost niemożliwe. Chodziło o to, żeby ten grunt traktować właściwie jak bagno, a nie wmawiać sobie i innym, że to ukwiecona łąka i stosownie do tego mierzyc i kierować swoje kroki.

Mówi się obecnie dużo o dołączeniu Polski do Europy, o konieczności dogonienia Europy i trudnościach, jakie się z tym łączą. Ośmielam się twierdzić, że ta nasza niewielka grupa malarzy, już wtedy, w końcu lat czterdziestych, kiedy nas od Europy usiłowano całkowicie odłączyć, odciąć, odizolować, utrzymała swoimi wątłymi siłami związek z cywilizowanym światem, oczywiście tylko w pewnej płaszczyźnie. Nie były zatem te siły takie wątłe, jak by się mogło wydawać.

W dziedzinie kultury (a jest ona jednym z najważniejszych obszarów całej strefy duchowego życia społecznego) przede wszystkim malarzom, a ściślej naszej małej krakowskiej gromadce, udało się – powtarzam – już wtedy nadrobić pięćdziesięcioletnie opóźnienie naszej sztuki, nie dopuścić do zwielokrotnienia i tego opóźnienia i do zerwania więzów z kulturą Zachodu. Przede wszystkim malarzom, bo literaci, a nawet muzycy byli za nami jeszcze w tyle. Choć brzmi to paradoksalnie, dołączyliśmy do Europy w tym okresie, kiedy najmocniej oddzielała nas od niej „Żelazna kurtyna”, a nad środkowoschodnim obszarem naszego kontynentu wisiała groźba sowytyzacji. I stan ten potrafiłmy do dnia dzisiejszego utrzymać. Po 56 roku prasa francuska ochrzciła ten fakt *miracle polonais*. Ten *miracle* miał długi, żmudny i skomplikowany przebieg, choć pojęcie to sugeruje błyskawiczny proces. Rola, jaką odegrał Kantor w tym procesie, jest ogromna.

Nie chcę heroizować naszych dokonań, przyznawać wyłącznie nam wszystkich zasług, sugerować, że my sami „przewróciliśmy” socrealizm. Wiele kręgów środowiska artystycznego w tej operacji brało udział, świadomie lub nieświadomie, bardziej lub mniej aktywnie, z różnych zresztą przyczyn i motywacji. Ba, nawet wielu płomiennych wyznawców socjalistycznej sztuki przyczyniło się niechęć do jej upadku, przez nadgorliwość w jej realizowaniu, przez nadmierny żar rewolucyjnej gorączki. A i tym ludziom, którzy z urzędu czy przekonania byli po tamtej stronie, a mimo to starali się w miarę możliwości chronić pewne wartości albo pewnych ludzi, jak Lucjan Motyka, i należy oddać im sprawiedliwość. To materiał na długie, wnikliwe studia, na które w tym wypadku nie ma miejsca. Toteż ograniczam się do pewnych zasadniczych stwierdzeń i akcentuję te sprawy, które bezpośrednio dotyczą Kantora i nas – jego przyjaciół.

Czy interesowaliśmy się polityką? Bezpośrednio raczej nie. Polityka mało miejsca zajmowała w naszych rozmowach. Kantor prawie nigdy tematów ściśle politycznych nie poruszał. Z nim właściwie rozmawiało się wyłącznie o sztuce. Świadczy to przede wszystkim o tym, że w tych warunkach, w tych czasach rozważania na tematy polityczne uznaliśmy za bezprzedmiotowe, prowadzące do nikąd, albo wyłącznie w złym kierunku. W przeciwieństwie do retoryki politycznej środowisk awangardowych na Zachodzie byliśmy pozornie apolityczni – w istocie byliśmy niechętni tej właśnie politycznej retoryce, bo u nas posługiwała się nią „reakcja”. Przerażeni tą polityką, którą uprawiano na naszej skórze o wiele bardziej świadomi, lub choćby intuicyjnie przeświadczeni, że związki polityki ze sztuką są niebezpieczne i bardziej skomplikowane niż by się mogło wydawać, a jeśli się je upraszcza rezultaty są opłakane, wręcz groźne, czuliśmy równocześnie, że nasza działalność ściśle artystyczna, uchylająca się od politycznych publikacji jest o wiele bardziej uwikłana w politykę, niż ta, której towarzyszą polityczne manifesty i deklaracje. I rzeczywiście, chcąc nie chcąc, taką właśnie (polityczną) odegrała rolę, o wiele większą niż na Zachodzie. Bo nasi zachodni koledzy rzeczywistość widzieli w lusterku, a my stanęliśmy przed nią twarzą w twarz.

Trudno mi obecnie określić stopień i charakter naszego strachu w tamtych czasach. Czy baliśmy się represji? W jakiś sposób musieliśmy brać je pod uwagę, ale to chyba nie był wielki strach; przynajmniej w moim

Jerzy Tchórzewski

# Kantor i inni (2)

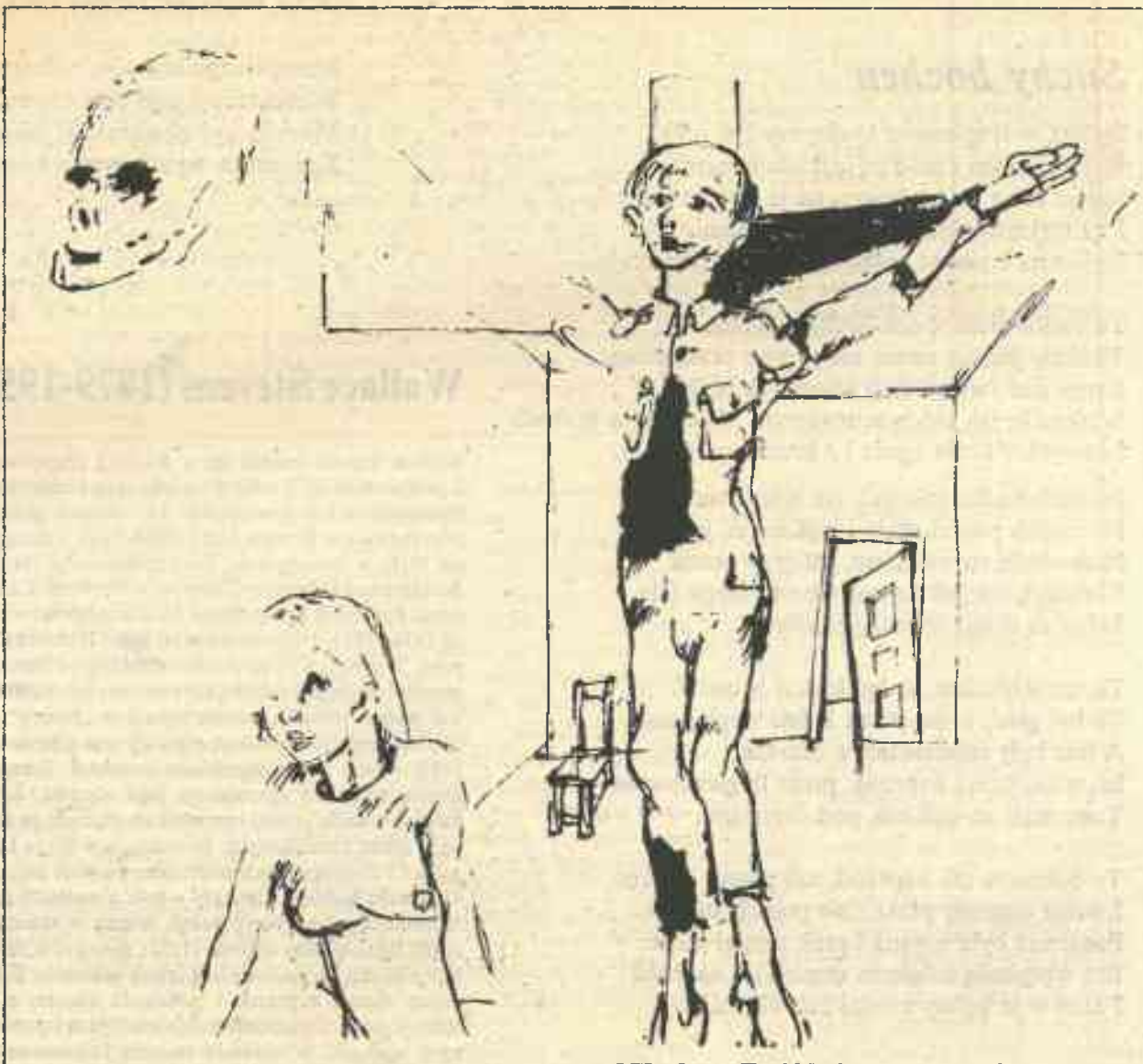
przypadku przeżyłem już większe lęki. Zresztą bardziej nas straszono niż prześladowano. Komuniści w Polsce nie represjonowali ludzi kultury ani w takim stopniu, ani takimi metodami, jakie stosowali np. wobec akowców. Wiązali im ręce (nie dosłownie) i utrudniali życie, ale nie maltretowali ich fizycznie jak na przykład w Związku Radzieckim. Zależało im na tym, żeby sobie kupić ludzi kultury, no i w dużej mierze ten cel osiągnęli. Tak czy owak, los wszystkich „podejrzanych” stale był niepewny. Nasz strach miał raczej niewielkie oczy, ale za to uparte spojrzenie. Nie był to strach, przed „katorgą” lecz przed vegetacją na marginesie życia, przed kompletnym paraliżem. Któregoś dnia wybraliśmy się z Jurkiem Nowosielskim do Balzaka (Mikulskiego). Umówiliśmy się, że go nastraszymy wiadomością o aresztowaniu Kantora. Weszliśmy do pracowni Balzaka z ponurymi minami. „Sluchaj Balzak, tylko prosimy cię, nie denerwuj się z góry, może to nie jest takie groźne jak by się mogło wydawać, no i zastanów się co zrobić, być może myśły się za bardzo przestraszyli...” – Co się stało? – zapytał nerwowo Balzak, lustrując nas niespokojnym spojrzeniem. „Aresztowano Kantora. My na wszelki wypadek wyjeżdżamy z Krakowa na kilka dni. Jeśli chcesz, to jedź z nami do Kielc, idziemy właśnie na dworzec. Zresztą, rób jak chcesz, pewnie go wypuszczą, chcą go tylko trochę nastraszyć...” – „Mówicie poważnie? – wpatrywał się niepewnym spojrzeniem raz w Jurka raz we mnie. Wybuchliśmy śmiechem. – Pamiętasz, jak zrobiliście mi głupi kawał o tym aresztowaniu Kantora? – przypomniał mi Balzak, kiedy go odwiedziłem po pogrzebie Tadeusza w jego pracowni na Józefa 44.

Ale dyskretnie miało nas na oku. Opowiadał mi kiedyś

Kantor, że odwiedził (czy nawet odwiedzał) go w tych czasach jakiś pan w cywilu. Interesował się tym, co Kantor robi i tym co robią jego przyjaciele. – I o ciebie też się pytał – dorzucił z uśmiechem. Niemniej jednak była to łagodna inwigilacja – nie ma się zbytnio czym przechwalać.

Groźniejsze były pozornie zwyczajne, „normalne”, codzienne kłopoty naszego życia w tamtych czasach. Wszystko w nim było niepewne, stale czymś zagrożone, stale od czegoś (nie wiadomo od czego) zależne. Kantor, Bogu dzięki, miał etat scenografa w Starym Teatrze (wyrzucono go tylko z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych), Balzak i Skarżyński byli scenografami w „Grotescie”. Wszyscy trzej robili co mogli, aby przyzwoicie w teatrze pracować i często (zwłaszcza w „Grotescie”) mieli możliwości zupełnie uczciwej artystycznej pracy. Ale najważniejsze było to, że im ta praca zabezpieczała jako taki byt i pozwalała pracować „do szuflady”. No i wszyscy mieli dach nad głową. Jonasz Stern, Marysia Jaremińska i Jurek Nowosielski mieli jedynie dach nad głową, ale nie mieli stałej pracy. Nowosielscy po jakimś czasie byli zmuszeni wynieść się do Łodzi, gdzie również znaleźli pracę w Teatrze Lalek. Ja do 1954 r. nie miałem ani dachu nad głową, ani stałej pracy. Toteż kiedy w styczniu 1954 r. po kilku latach tułaczki, wybiłem się na „mieszkańową niepodległość” (wprowadziłem się do pracowni przy ul. Solnej), czułem się jak w niebie. A wybiłem się od razu wysoko, bo aż na siódme piętro – jak na ówczesny wzrost Warszawy była to niebotyczna wysokość. I rzeczywiście czułem się tak, jakbym po tych latach przeżytych w suterenie (to oczywiście metafora) nagle Pana Boga złapał za nogi.

Jeszcze niedawno pisała do mnie żona „... mogę mieszkać nawet w piwnicy, byle z tobą...” Po naszym zainstalowaniu się na Solnej Tadeusz Różewicz zadedykował mi jeden ze swoich tomików następująco: „Jurkowi na 6 (czy na 7) piętrze z życzeniami, żeby dalej zaszedł aniżeli zamieszkał”. Pracownia na Solnej była duża (8x5) wysoka, widna, za nią był wąski schowek na obrazy, który zamieniliśmy na pokój dla Krzysia, wzdłuż pracowni od wejścia biegł wąski ciemny (wewnętrzny) korytarz, gdzie Teresa zainstalowała kuchenkę gazową, łazienki oczywiście nie było, tylko WC i umywalka. Jako pracownia, była to najlepsza pracownia, jaką miałem w życiu. Sęk w tym, że była to właściwie pracownia, a służyła równocześnie jako mieszkanie, ale ten sęk początkowo nam nie uwiarał. Z biegiem czasu jednak dawał coraz wyraźniej znać o sobie. Opisuję tę pracownię tak dokładnie, bo tam się zaczęło nasze względnie normalne życie. Ileż tam się zresztą rzeczy działo przez tych 7 lat, które w niej przeżyliśmy. Była



TADEUSZ KANTOR *Wielopole* „Ewangelia w dziecięcym pokoju”



i pracownią (w całym tego słowa znaczeniu) i naszym własnym, wymarzonej miejscem na ziemi i zajazdem dla naszych przyjaciół. Kantor, T. Różewicz, Nowosielski, przyjeżdżając do Warszawy, zawsze tam u nas mieszkali, nierzadko po kilka dni. Zdarzało się, że gościliśmy równocześnie Kantora i Różewicza lub Różewicza i Nowosielskiego – rozkładało się wówczas łóżko polowe, a rozmowy i dyskusje były jeszcze dłuższe i żywsze niż w przypadku pojedynczych wizyt. A kto nas tam na Solnej nie odwiedził: – Marysia Jaremińska, Henio Stażewski, Marek Włodarski, Boguścy, Wojciechowski, Rysio Stanisławski, Alina Szapocznikow, profesor Starzyński, Porebscy, Jakimowiczowie, Wasco Popa, Merchiori, Wizintin, Vedova, Verdiani, Jean Clarence Lambert, Jean Jacques Lebel, Zbyszek Herbert, Witek Wirpsza, München, Jacques Taminiaux, Françoise Collin i wielu, wielu innych. I te te białe surowe, wysokie mury naszej pracowni – która była równocześnie „salonem” i sypialnią – nasłuchiwały się ciekawych rozmów, dyskusji, ocen, przewidywań (trafnych, jak się okazało, często po wielu latach). Ale najwięcej dni i nocy spędziliśmy tam z nami Kantor, Różewicz i Nowosielski.

Pamiętam taką scenę, bląką ale zabawną i muszę ją jednak poprzedzić wstępem. W czasie któregoś pobytu na Solnej Tadeusz Różewicz postanowił kupić sobie buty w stolicy. Radził się Teresy w tej sprawie, prosił ją nawet, żeby mu towarzyszyła przy tym ważnym i niecodziennym zakupie. Ale kto wie, może z obawy, żeby go nie namówiła na zbyt drogie obuwie, nie skorzystał z jej pomocy i wrócił z miasta z pudełkiem zawierającym cenny nabytek.

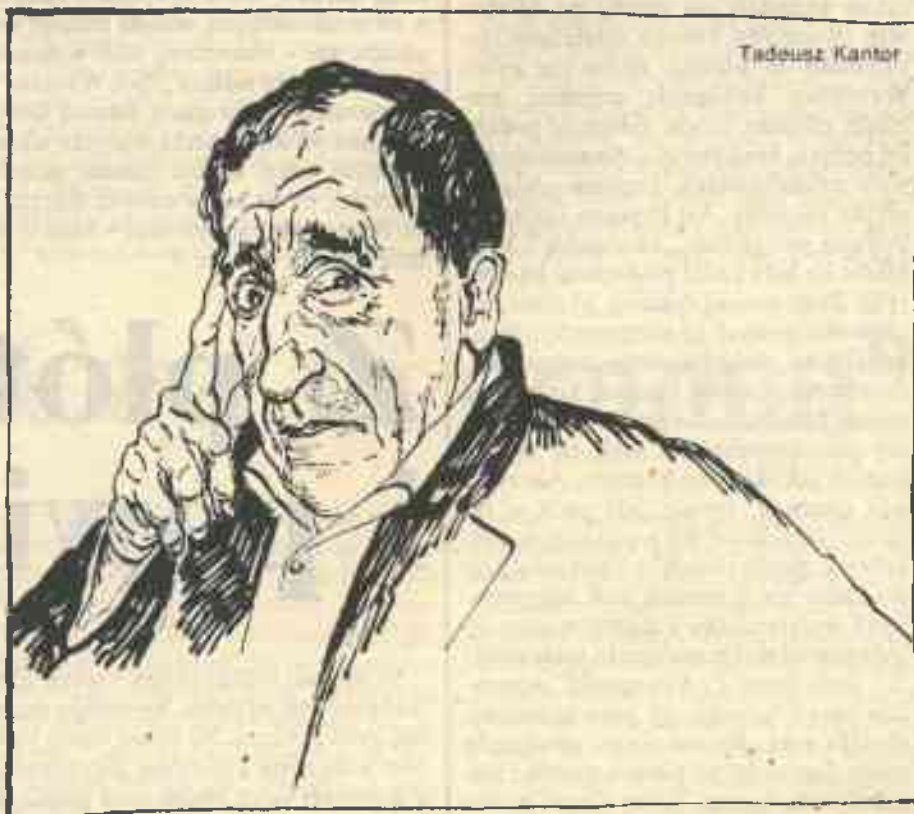
Nastąpiły oględziny, które wprawiły nas w pewne zakłopotanie. Buty były dość paskudne (jakiś taki wiejski blond, jeśli chodzi o kolor, no i fason też nie wielkomiejski, ale Tadeusz był zadowolony, bo podobno były węgierskie (czyli zagraniczne). Oczekiwał od nas aprobaty swojego wyboru. Teresa jakoś dyskretnie sformułowała drobne zastrzeżenie co do koloru i fasonu, ale mocno zaakcentowała swoje przekonanie, że wyglądają na solidne i wygodne. Przed udaniem się na spoczynek Tadeusz ustawił swoje nowe buty koło tapczana, pewnie po to, żeby pogodniej powitać dzień następny. Nazajutrz po obudzeniu siedział jeszcze w piżamie ze skwaszoną niewyспанą miną (nawet i węgierskie buty nie pomogły), bo ja jako „sowa” przetrzymywałam go do późnej nocy, a on jako „słowik” mimo to budził się wcześniej, kiedy odezwał się dzwonek do drzwi wejściowych. Otworzyła Teresa. Wchodzi Kantor, elegancki, jakby szedł na bal, w znakomitej formie i humorze. Mówi, że przyjechał prosto z dworca, bo wraca z Paryża. – To pan, po takiej długiej podróży, taki elegancki i rześki, że złośliwą zazdrością w głosie indaguje go Różewicz. Kantor ogarnął jasnym, roześmianym spojrzeniem swoich ciemnych oczu skulonego i skwaszonego poetę i z ironią w głosie, pogardliwym gestem wskazując buty stawiane przy fortepianie zapytał – A to – co to jest? – i parsknął śmiechem. Różewicz zaczął nogą podsuwać swoje wypione buty pod tapczan, aby ich nie wystawiać na pośmiewisko. Wybac mi Tadeuszu opowieść o twoich węgierskich butach, ja się podobnie ubierałem. Gdzie było „Grupie Niedźwiedzia” (jak się nazwaliśmy, od zdjęcia z niedźwiedziem, które nam zrobił uliczny fotograf, wyglądamy na nim jak dwaj chłopcy-robotnicy pod Pałacem Kultury) do tego prawdziwego Mistrza „noszenia się” i elegancji, jakim był Kantor.

Umarł Józef Wissarionowicz Stalin, zaczęła się odwilż. Powoli pękały lody socrealizmu, a październik 1956 stopił je w okamgnieniu. Pospolite ruszenie nowoczesnej sztuki przystąpiło do akcji i jak to bywa z pospolitym ruszeniem, narobiło wiele zamieszania. Tworzyły się różne regimenty, często pstrokato, zabawnie umundurowane na awangardową modłę. Koloryści też trochę odetchnęli, ale bezpowrotnie stracili rząd dusz i panowanie nad malarską bracią i miotającym ją żywiołem, schronili się więc w uczelniach, żeby dożyć swoich dni we względnie spokojnym i nie wystawianym na przeciągi. Nas oczywiście wyniosło najwyżej. Nie musieliśmy nadrabiać straconego czasu, nasze pracownie – które trawestują znane powiedzenie o domu – były w czasach socrealizmu naszymi twierdzami, nie były puste. Natomiast wszyscy nowo-nowocześni pacykowali pospiesznie, przemalowywali z zadyszką swe socrealizmy na znacznie „iz-

my”. My kontynuowaliśmy nieprzerwaną pracę, oczywiście bardziej ochoczo, bo łatwiej było oddychać. W 1957 roku założyliśmy „Grupę Krakowską” i zainstalowaliśmy się w „Krzysztoforach”; w Warszawie działała galeria „Krzywe Koło”, w jej działalności również mieliśmy poważny udział. Ja z Aliną Szapocznikow miałem w 1957 roku wielką wystawę w Zachęcie, na której w sześciu salach pokazałem 170 prac (był to tylko wybór w znacznie większej ilości) malowanych „do szuflady” w okresie błędów i wypaczeń. Wystawa była szokiem, już nie takim, jakim była I Wystawa Sztuki Nowoczesnej w 1948 r. Ale i tak pisano „że jedni się zachwycali, inni pluli”. Pierwsze wystawy naszego malarstwa na Zachodzie w Wenecji i Genewie (1958) na Biennale w Sao Paulo (1959), na Biennale Młodych

kwadratowe płótna poplamione na wszelkie możliwe sposoby. Żeby to szaleństwo trochę opanować, prezentował Kantor w swoich tekstach, odczytach i wystąpieniach różne łagodniejsze nieco, (od amerykańskiej), formy tej malarskiej przygody, jaką był *informel* – abstrakcję liryczną, abstrakcyjny ekspresjonizm, malarstwo materii. Jego wywody były rzeczowe, prawidłowo sformułowane, ale reakcje na nie naszej malarskiej społeczności były przeważnie chaotyczne. Teraz z kolei poszły w ruch szmaty, gwoździe i trociny i wszystko co się dało ponaklejać, poprzyćcipać. Podobnie było zresztą na całym świecie, ale Polacy szarżować potrafią najlepiej. Kantor napewno życzył sobie, aby pod jego batutą orkiestra zagrała czysto, znakomicie i sędzę, że chętnie by nas, swoich przyjaciół, widział w roli solistów, ale

myśmy się do tego nie kwapili, nie chcieliśmy grać w orkiestrze. Czasem ktoś z nas spróbował zagrać jakąś tam część przywiezionej przez Kantora partytury, ale po swojemu i na swój własny użytek. I tak na przykład Jurek Nowosielski pokazał w „Galerii Po prostu” kilkanaście płócien, które można by jakoś pod szyldem *informelu* umieścić. Ale to był *informel* Nowosielskiego i tylko jego. Na gładkich, choć ożywionych drobnymi niuansami koloru i widocznymi pociągnięciami pędzla, tłach – przestrzeniach, otoczonych kolorowymi obwódkami, pojawiły się jakieś smugi, jakieś rany tej przestrzeni. Ale powtarzam, było tych ciekawych zresztą płócien kilkanaście. Ot taki skok w bok w malarstwie Nowosielskiego. I na tym się skończył jego flirt z *informelem*. Jurek powrócił do formy. Zaraz po przywiezieniu z Paryża nowej awangardowej ewangelii, czyli *informelu* (równocześnie z jej przyjęciem odkrył Wolsa, a dopiero co Francuzi go dostrzegli) Kantor powiedział mi: „wiesz w twoich gwaszach, które malowałeś w socrealizmie (tych do szuflady) jest dużo analogicznych działań do tych, które są w pracach Wolsa”, o istnieniu którego nie tylko u nas wtedy, ale i w Paryżu nikt nie wiedział. I rzeczywiście, były takie analogie, nie podobień-



PANEL RÓŻEWICZ

w Paryżu (1959) przyjęte były z prawdziwym zainteresowaniem i zdumieniem. Równocześnie kilku z nas zaprezentowało się wystawami indywidualnymi w Paryżu (m.in. ja w Galerie Furstenberg prowadzonej przez pierwszą żonę André Bretona, panią Simone Collinet). 26.02.91

Kantor znalazł się w dość skomplikowanej sytuacji. Wydawać by się mogło, że jemu w pierwszym rzędzie ta sytuacja naszej sztuki powinna sprzyjać. A było odwrotnie. Pospolite ruszenie nowoczesności (w tym polskim wydaniu) nie okrzyknęło go przywódcą. Amatorów do buławy było wielu, nie tyle może do buławy, ile do rangi przywódców poszczególnych „awangardowych” regimentów, które jakoś się nie kwapiły zebrać w kupę. A nawet solidarność w obrębie naszej Grupy Krakowskiej nie była już tak solidna jak w czasach „burzy i naporu”, a później zagrożenia. Bo już byliśmy dorośli i sytuacja się zmieniła. Więzy przyjaźni nie domagały się obecnie równania kroku i zwartego szyku. Zwłaszcza w tym rosgardiaszu wygodniej było działać w pojedynkę. Kantor wyczuł, że referendum na prezydenta tej Malarskiej Rzeczypospolitej nie wygrałby, bo i „kosmopolita” i my tu mamy „polską drogę do nowoczesności” i wszelkie inne „wolność Tomku w swoim domku”, spontanicznie z sytuacji i naszej polskiej natury wynikające, ale i sprytnie sterowane przez reakcję, nie dopuściłoby do tego. My, oczywiście, głosowaliśmy na niego, ale też bez ognia, zresztą, to by niczego nie zmieniło. Były przywódca ma zawsze nietławe życie. Omijano go przy najważniejszych imprezach (Biennale w Wenecji i Sao Paulo) a i on się od nich wykręcał. Bardziej się artystycznie udzielał za granicą niż w kraju i to w pojedynkę. Znalazł swój Sulejówkę w Paryżu, od polskiej przepychanki trzymał się z daleka. Nie zrezygnował jednak z roli pierwszego rzeczoznawcy w sprawie sztuki nowoczesnej. Nadal wskazywał to, co „aktualnie jest najważniejsze” – bo, powtarzam – miał nosa i najszybciej potrafił to wypatrzeć. Było to i dla niego osobiście i dla całej naszej sztuki równocześnie bardzo cenne i bardzo niebezpieczne. Tej jednak batuty, niezależnie od tego jak reagowała na nią niesforna orkiestra jaką był rodzimy malarski światek, długo z ręką nie wypuszczal i tak na przykład w 1957 roku przywiózł Kantor do Polski taszyzm (*informel*). Zaczęto chlapać farbą z czego się dało i na co się dało. Umorusała się malarska brać po uszy, poszły w ruch kubły, puszki i konewki i kilometry

twą, a skąd to się brało?

– Z powietrza. Tadeusz Brzozowski również przez jakiś czas gmatwał swoje formy i płątał nici ich malarskich podrysowań, ale we właściwym momencie skonstatował, że jego malarstwo to nie służy i przestał się tym bawić. I na innych malarzy w jakiś sposób ten kierunek wpłynął, nie wykołując ich twórczości, a wprost przeciwnie, ożywiając ją. Było to normalne i prawidłowe. *Informel* był zresztą moim zdaniem, bardzo owocnym etapem rozwoju myśli plastycznej, zbulwersował ją, otworzył wiele nowych perspektyw, uwolnił abstrakcję od sztywnego garnituru, krępującej ją geometrii. Jednak w swoim ortodoksyjnym wydaniu mógł stać się dla sztuki aktem samobójczym. A Kantor stale jeszcze akceptował kolejne awangardowe programy w ich ortodoksyjnym brzmieniu. Ponownie wydawały mu się one zgodne z jego własną naturą. Jak się później okazało mylił się i miał rację równocześnie. Mylił się, bo nie były one całkowicie zgodne z jego artystycznym charakterem, już choćby z tego względu, że nie on je sformułował; miał rację, bo jednak rzeczywiście prowadziły go we właściwym kierunku odkrycia samego siebie. Kantor jak już wspomniałem, przerażony rosgardiaszem na rodzinnym plastycznym terenie, gdzie go zresztą niesprawiedliwie potraktowano, dużo czasu spędzał za granicą, przede wszystkim we Francji. Tak się jakoś złożyło, że nigdy się z nim za granicą nie spotkałem. O jego artystycznym losie poza krajem wiem trochę z jego opowiadań, no i z tego co mi o nim mówiono w Paryżu. W pewnych środowiskach *de la Ville Lumière* był on znany, bo i często tam bywał i pierwszy z nas, już w latach czterdziestych tam się znalazł. W Paryżu wyrażano się o nim z pewnym uznaniem. Spotkałem nawet wielu ludzi, którzy byli przekonani, że jest on jedynym nowoczesnym malarzem za „żelazną kurtyną”, więc choćby z tego względu na uwagę i sympatię zasługuje.

Ale w tych pozytywnych opiniach o Kantorze było trochę protekcyjnej sympatii, jaką ma się dla pilnego i zdolnego ucznia. Tak, ucznia, a nie partnera – o partnerze mówi się innym tonem. Francja nie jest skłonna do odwzajemniania gorących uczuć, jakie budzi. (a takie żywił do niej Kantor), uważa, że nie musi być za nie szczególnie wdzięczna, bo po prostu zasługuje na nie. Zresztą, Paryż jest pluralistyczny, że użyję tego nadużywanego obecnie słowa. Jeszcze w latach czterdziestych Kantor mówił nam z nabożeństwem o „Phases” o,

dokończenie na s. 6

TYGODNIK  
LITERACKI 5



# Kantor i inni (2)

dokończenie ze s. 5

Edouardzie Jaguerze, Matcie, W. Lamie. I to środowisko, wywodzące się w jakiś sposób z surrealizmu, uważał za Awangardę nr 1. Kiedy pod koniec 1959 roku znalazłem się w Paryżu po raz pierwszy (a właśnie to środowisko *Le Mouvement Phases*, jeszcze przed moim przyjazdem do Francji odkryło mnie bodajże na wystawach w Wenecji i Genewie i bardzo życzliwie mnie przyjęło) zorientowałem się szybko, że pewni ludzie z nim związani, no a przede wszystkim Edouard Jaguer, znają Kantora, ale mają do niego stosunek ambiwalentny – cenią go, ale... Jaguer żywo interesował się polską sztuką i nawet stosunkowo wiele o niej wiedział. Dał zresztą temu wyraz w swoim długim, wyczerpującym i wnikliwym artykule „L'Avant garde polonaise: structure et dynamique (w *Cahiers du musée de poche*, nr 4, 1960). Był to pierwszy poważny artykuł o sztuce polskiej w poważnym piśmie) jaki się ukazał za granicą, w niejednym przypadku wyprzedzający celnością oceny krytykę polską o wiele lat, jak choćby w przypadku S.J. Witkiewicza. W tym artykule Jaguer oddał sprawiedliwość Kantorowi jeśli chodzi o jego rolę w rozwoju polskiej awangardy, ale... nazwał go utalentowanym scenografem, wskazał określone wpływy na jego malarstwo i wspominał o jego skłonności do metamorfoz Brzozowskiego, Lebensteina i mnie potraktował poważnie. Na pewno Kantora to zabolowało. Również i w rozmowach Jaguera ze mną, kiedy się mówiło o Kantorze, te sprawy powracały. W czasie którejś wizyty u Jaguera, (chyba w 1966 roku) długo i z ogniem przekonywałem go do sztuki Kantora, opowiadałem mu o jego niezwykłym teatrze, odparowywałem zastrzeżenia Eduarda. Słuchał uważnie, był zaskoczony żarliwością moich opinii i nawet, wydawało mi się, skłonny w nie uwierzyć, ale czy go przekonałem do końca, nie jestem pewny. Teresa po tej rozmowie powiedziała: że- byś ty potrafił tak walczyć o siebie! W każdym razie Kantora, ani paryskie „Phases” ani belgijska „Edda”, ani argentyńska „Boa” – pisma tej awangardowej orientacji nie reprodukowały, ani nawet nie wspominały. A przeszła przez nie cała czołówka światowa. Dlaczego? I do wielkich manifestacji ścisłej czołówki awangardowej sztuki „Alternative Attuali I” i „Alternative Attuali II” w L'Aguii Kantora nie zaproszono ani do wspianego prestiżowego wydawnictwa (Avangardie Internationale) wydanego przez Tristianą Sauvage w Mediolanie.

A. Brzozowski i ja wszędzie tam jesteśmy. Jak wytłumaczyć pewną rezerwę do Kantora, tego środowiska (zresztą nie tylko tego?). Przede wszystkim tym, że go to środowisko znało jedynie z widzenia, nie znało go, że się tak wyrażę od środka, tak jak my, a z tego zewnętrznego wyglądu trudno było jeszcze domyślić się tej niezwykłej potencji twórczej Kantora, którą bliscy wyczuwali wyraźnie. Po drugie Kantor z racji osobliwej struktury swojej osobowości i nie mniej osobliwego przebiegu określenia się jej i kształtowania, mimo szczególnego nabożeństwa dla „prawowitej” awangardy, nie tyle nie chciał, co nie mógł spełnić jej wymagań. Powołując się na nią o wiele bardziej niż

ktokolwiek z nas, w swej praktyce nie był w zgodzie z jej przykazaniem. Działo się to w momencie bardzo poważnych zmian zachodzących w świecie sztuki i wywołanych przez nie konfuzji. Środowisko o którym pisałem było ostatnią, że się tak wyrażę, „legalną”, „na drodze konstytucyjnej” wyłonioną awangardą. Jej cele, charakter i „skład osobowy” określili i ustalili sami artyści, krytycy, ludzie sztuki bez udziału i wbrew marszandom oraz prawom rynku, i bez i wbrew ingerencji państwa i wszelkich oficjalnych instytucji. Nazwałem ją ostatnią „legalną”, a nie po prostu ostatnią, bo w tym czasie wyrastały jak grzyby po deszczu inne awangardy, których działalność stymulowały te właśnie, odrzucone przez prawdziwą awangardę czynniki: pieniądz, reklama, moda, zależność podaży od popytu, konkurencja. Awangarda została zalegalizowana, kupiona, stała się sztuką oficjalną. Ale kupiono i zalegalizowano, powtarzam, „awangardę”. Więc trzeba się było nadal posługiwać jej retoryką. Zachować jej dekalog, jej „liturgie” i powołać nowych jej arcybiskupów. Teraz będą nimi menedżerowie, marszandzi, dyrektorzy muzeów i galerii, krytycy na etacie. Toteż ta nowa pseudoawangarda, czy pseudoawangardy mają się tak do starych jak sklep do kościoła. Ale za to jaki rozmach, tempo, jaki ruch w interesie, jakie echo! No a kościoły, w jakikolwiek sposób chciałyby się obecnie pięć do nieba nie dominują nad nowoczesnymi metropoliami i nawet trudno by było przyzdobić je neonami – takie czasy! A i samo pojęcie „Awangarda” wprawdzie brzmi dziarsko, ale prawdę mówiąc straciło sens. Bo cóż to za awangarda skoro depczą jej po piętach zwarte i nieprzeliczone szeregi, bo to się po prostu opłaca. Jeśli by to pojęcie mogło jeszcze zachować jakiś sens, należałoby je stosować wyłącznie do tych, którzy idą w pojedynkę, jakąś boczną ścieżką, a nie ścigają się na głównym szlaku, ale to raczej byłiby szperacze. Szeregi „Le Mouvement Phases”, który był spadkobiercą prawdziwej awangardy, też topniały. Jednych porywał pęd głównych autostrad, inni jedną nogą stali na jego gruncie, ale drugą badali nowe szlaki – tych Jaguer skreślał ze swojej listy bez litości, jak André Breton. – „Popatrz na tego Hartunga – pokazał mi wiszący w swoim mieszkaniu obraz Hartunga, którego lansował w pierwszym numerze »Phases« – jaki to był malarz, porównaj go z obecnym. Tak, tylko wtedy Hartung kosztował grosze, teraz kosztuje miliony (to nie jest usprawiedliwienie, to stwierdzenie). Tak że sędzią w procesie prawdziwej (legalnej) Awangardy z tą nową pseudo czy neoawangardą było po prostu życie, a ono nie mogło być sędzią niezależnym, bo kieruje się swoimi prawami, nie prawem sztuki. Toteż werdykt jego był do przewidzenia. Kantor opowiedział się za tą „nową awangardą”. Czy dlatego, że był pragmatykiem, czy się pomylił? Odpowiedziałbym przecząco na jedno i drugie pytanie. Bardziej stanowczo na pierwsze. Bo jakkolwiek wierzyłem w jego inteligencję i intuicję i przypuszczam, że zdawał sobie sprawę z dwuznaczności roli i charakteru tych nowych awangard, to równocześnie znałem jego skłonności do przygody, ryzyka i szybkiego tempa przemian, a każda nowa sytuacja takiej możliwości stwarza, natomiast wyrachowanie było obce jego naturze. I musiał się chyba spodziewać, że kto wie, może właśnie na tej niebezpiecznej drodze znajdzie siebie. Jego skłonność do metamorfoz wynikała moim zdaniem właśnie z tego, że on sam najwyraźniej czuł i zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie znalazł siebie i bardziej go to bolało, niż wytykanie mu tego przez innych.

Jerzy Tchórzewski

## sztuka

Dorota Jarecka

To, co znalazłem do tej pory z twórczości Magdaleny Abakanowicz, to rozrzucone po muzeach przedmioty, tkaniny albo rzeźby. Zawsze stłoczone w ciasnych salach, z pracami innych artystów, w powietrzu, w którym mieszają się różne zapachy. Tuż przed wystawą w Łodzi – jeszcze jedno niespodziewane spotkanie. Oto na wystawie *Szyk polski* w Zachęcie w sali przedstawiającej, estetykę realnego socjalizmu, wisi – biało-czarny kilim wykonany przez artystkę dla redakcji „Życia Warszawy”. Na pierwszej stronie gazety Edward Gierek i przyjaźń polsko-radziecka, wszystko utkane z polskiej wełny. Robotą rzetelną, materiał szlachetny, nawet pewne wartości dekoracyjne, ale znów nie wiadomo skąd – budzi to we mnie mieszane uczucia.

# Z płótna i powietrza

Na wystawie łódzkiej miałam wrażenie jakby zamknięto drzwi od kuchni. Wystawa jest oszczędna, pełna powietrza. Na wprost wejścia widać tylko jedną rzeźbę – pochylone plecy człowieka w drewnianej klatce. Można wziąć głęboki oddech, dojść do końca pierwszej sali i spojrzeć za róg. Za rogiem stoi tłum, który znam ze zdjęć w amerykańskich magazynach reklamujących wystawę Abakanowicz w Chicago. Tyle, że na tamtych fotografiach tłum jest prześwietlony do białości, odrealniony – tutaj realny, ciemny, zgrzebnny. Kilkadziesiąt naturalnej wielkości postaci to „Stado” z cyklu *Ragazzi* (z lat 1990-91). Chłopcy



MAGDALENA ABAKANOWICZ „Klatka”

z worka utwardzonego żywicą stoją w trzech rzędach. Ręce spuszczone wzdłuż ciała, klatka piersiowa wypięta. Stoją trochę niezgrabnie, po dziecięcemu, jak to chłopcy, w chwili kiedy dorosli każą się wyprostować, mierzą, ważą, albo po prostu przyglądają się. Już z daleka widać, że te postaci niewiele się od siebie różnią, mają te same proporcje i wymiary. Jest to w zasadzie ta sama figura powtórzona wiele razy. Drobne różnice wynikają stąd, że prymitywna gruba materia, z której są zlepione, za każdym razem układa się trochę inaczej.

Replika to ujęcie ryzykowne, grozi banałem. Nie uniknął banału Józef Szajna, który od niepamiętnych czasów ustawia na podłogach kolejnych galerii tę samą zwiokrotnioną i po-

większoną fotografię więźnia obozu koncentracyjnego. Podobnie banalny jest tłum anonimowych przechodniów, który od lat przesuwają się po schodach, salach i sufitach (właściwie dlaczego po sufitach?) wrocławskiego Muzeum Narodowego – dzieło Karola Broniatowskiego. U obu rzeźbiarzy replika stała się jęłowym chwytym. Kompozycje Szajny nie dotykają istoty śmierci, rzeźby Broniatowskiego nie przekazują żadnej prawdy na temat życia.

Magdaleny Abakanowicz udaje się uniknąć banału. Bezgłowe ciała żyją. W ulepionej z grubego płótna klatce piersiowej czuje się oddech, w wielkich stopach ciężar całego ciała. Jednocześnie (gdy patrzy się z bliska) czarna, workowa materia zdaje się rozpadać, jak znalezisko archeologiczne wydobyte nagle na powietrze. Żyjące ciała mówią o groźnej im śmierci.

Ustawiona z boku maska z cyklu *Anonimowych portretów* (z lat 1985-90), zrobiona z bawelnianego płótna usztywnionego żywicą i piaskiem, mówi o zastygłym w jej delikatnych rysach życiu. Cienki płat materiału wsparty jest, jak egipskie portrety, na wysokiej drewnianej podpórce. Jest to twarz – jakby odcisnięta w bandażu zdjętym z mumii, twarz magiczna o ledwo zaznaczonych rysach, wyrobionych w glinianym garnku, wyloczonych w brązowej tarczy.

Miejsce, w którym ta główka spotyka się z brutalnym tłumem bez głów, jest dramatyczną kulminacją całej wystawy. Maska stanowi kontrpunkt dla zwartej i mocnej grupy *Ragazzi*. Mogłaby między nimi rozgrywać się cała scena: oni idą ulicą, ona patrzy przez okno.

Dla Magdaleny Abakanowicz korpus i głowa to dwa osobne tematy, tułów nigdy nie schodzi się z głową. Korpus, jak na rysunkach węglem z lat 1981-88, wyobrażających ciało ciężarnej kobiety, jest umięśniony, organiczny, witalny. Rysowana na oddzielnych kartach głowa to schematyczna maska. Prawie jak w teatrze lalkowym: miękkie, szmaciane korpusy skaczą, machają rękami, a twarze z papier-maché milczą, każda z zakłętym w rysach wyrazem.

Również pałubiczne kształty i szmaciana materia tych figur przywodzi na myśl teatr. Wśród nich widz czuje się jak na scenie, wystawa jest scenografią, za rzeźby wchodzi się jak za kulisy. Są w środku puste. Zrobione z kartoflanego worka, same przypominają wydrążone, wypalone w ognisku ziemniaczane lupiny. Efekt jest... no właśnie – nie dramatyczny, ale komiczny, groteskowy, jak wtedy kiedy zagłąda się za barokowy ołtarz by znaleźć negatywowe, bezbronne formy. Z tą różnicą, że tu nasz ruch został przewidziany. Rzeźby wyginają się do środka, wypuszczają, materiał żyje. Wnętrze bawelnianej głowy-maski wysypane jest piaskiem i ten piasek ma znaczenie nie tylko konstrukcyjne. Dzięki niemu maska o egipskich rysach staje się znaleziskiem na pustyni, kawałkiem bandaża z resztką prochów.

Rzeźby Magdaleny Abakanowicz są symboliczne i ekspresyjne. Ukształtowane są z pewną przesadą – karykaturalne, a jednocześnie wciąż posłuszne wobec natury, naśladowujące naturalne poruszenia (zwycięskie pochylenie pleców), nierówności skóry oddające w szorstkim płótnie. Dlatego niepowodzeniem wydaje mi się „Figura ze szkłem” z 1988-91 roku – gigantyczna postać zamknięta w szklanej szafie. Szkło obezwładnia tę fakturę, odbiera jej moc. Te rzeźby nie mogą być zamykane, potrzebują przestrzeni. Zrobione są z płótna, żywicy i powietrza.

Wystawa prac MAGDALENY ABAKANOWICZ Muzeum Sztuki, Łódź 26 II – 31 III.



Tygodnik Literacki w swym piątym tegorocznym numerze publikuje, pod tytułem „O dramaturgii współczesnej”, rozmowę z Tadeuszem Bradeckim. Dał się on w ostatnich latach poznać jako ciekawy aktor, wybitny reżyser, ambitny dyrektor teatru, wreszcie zdolny autor dramatyczny (choć jednej tylko sztuki *Wzorzec dowodów metafizycznych*). Mile również wspominam nasze wspólne, „zasiadanie” w Radzie Teatru minister Izabeli Cywińskiej – choć zakończyło się niemal dramatycznie.

Wszystko to jednak nie jest w stanie rozwiać moich wątpliwości czy Tadeusz Bradecki dobrze zrobił w ogóle godząc się na rozmowę o tak sformułowanym temacie. I on sam zresztą nie jest – zdaje się – wolny od wątpliwości, skoro zaczyna od samokrytycznego wyznania: „Nie czuję się do końca kompetentny, by móc w pełni obiektywnie to (poziom współczesnej dramaturgii – W.Z.) ocenić”. Po czym ocenia na kilku dobrych kartkach maszynopisu. To nie jedyny paradoks wyznań Bradeckiego, który przywołuje przykład Anglii jako jedyne go kraju europejskiego, który potrafił stworzyć system kreowania nowej dramaturgii, po czym z góry rezygnuje z produkcji rodzimej, gdyż „od autorów chciałoby się pewnego poziomu proponowanej rozmowy”.

Przywołuje modelowy przykład młodego Jarockiego, który postawił na Różewicza i – zdaniem Bradeckiego – wykreował go jako dramaturga, ale sam woli wystawiać Głowackiego i zachłystuje się Mametem, Enquistem i Taborim, którzy – przy całej swej wielkości – od dawna są dobrze w Polsce znani. A jeśli ich się nie wystawia (vide Mamet), to widać są po temu jakieś kulturowe powody, podobne tym, dla których nikt w USA nie wystawia historycznych dramatów Terleckiego.

Na marginesie: wystawianie sztuk w USA najlepiej – jak się zdaje – służy interesom polskich autorów w... Polsce, jakby na przekór staremu porzekadłu „I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu”. Czasem otóż robią, czego doskonałym przykładem może być broadwayowska kariera Janusza Głowackiego (w wywiadzie zwanego pieszczotliwie Jankiem). Jeśli ktokolwiek w tym kraju pamięta jeszcze zamierzchnie i zgoła prehistoryczne lata siedemdziesiąte, niech zaświadczy, iż swą najlepszą (lub jedyną dobrą, jak chcą niektórzy) sztukę – *Kopciucha*, napisał Głowacki na długo zanim przysłali mu się Nowy Jork; napisał ją po polsku i w wielu polskich teatrach wystawił. Nad amerykańskim dorobkiem tego autora (*Fortynbrasa upił i Polowanie na karaluchy*) najlepiej spuścić litościwą zasłonę milczenia, a nie emocjonować się po gazetach. Niech Tadeusz Nyczek zaświadczy.

Wracając jednak do Tadeusza Bradeckiego. Cytuję: „Świetny reżyser, który stawia na nową formułę... „Tak, to jest to! Ale „świetny reżyser”, który stawia na *Fortynbrasa* budzi moje zdziwienie. Tak wielkie, że nic nie jest już go w stanie przebić. Ani to, że najwybitniejszego być może polskiego poety i dramaturga, Tadeusza Różewicza, nazywa się trzykrotnie imieniem jego brata – Stanisława (czy pan Bradecki nie autoryzował tekstu? czy w „TL” nie ma sekretarza redakcji?), ani to, że Taboriego (nie: Taboriego) przypisuje się „niemieckiemu obszarowi językowemu”, choć jest to

Węgier piszący po angielsku, a reżyserujący głównie w Wiedniu. Ani to, że Bradecki bije w wielki dzwon ogłaszając, że „za chwilę polskie teatr odkryje” tegoż autora, choć np. *Mein Kampf* można od pół roku oglądać w Sopocie (przy kompletach) i nie tylko: nie dziwi cała pokrętność wypowiedzi Bradeckiego, który w gruncie rzeczy „zadany” tematem wcale się nie interesuje, ale czuje się w obowiązku powiedzieć coś sensownego.

Jeśli się czepiam – przepraszam. Sądzę jednak, że temat jest na tyle poważny, iż warto powiedzieć o nim kilka zdań więcej, niż zrobił to Bradecki. Współczesna dramaturgia polska jest bowiem – jak sądzę – pierwszą dziedziną piśmiennictwa (czy szerzej sztuki), jaką zamordowała nasza nowa rzeczywistość artystyczna

## Czyj to dramat?

i ekonomiczna. A w kolejce stoją już poezja, proza artystyczna, wreszcie sam teatr...

Problem nie polega bowiem na tym – jak formułuje to (niejasno) Bradecki – iż debiutanci nie są dostatecznie profesjonalni. O debiutantach trudno nawet marzyć. Na miejscu Bradeckiego – miejscu wysokim, cokolwiek by o tym sądzić – zmartwiłbym się raczej tym, że dla teatru przestali pisać Różewicz, Mrozek (przynajmniej od paru lat), Rymkiewicz, Sito, Redliński, Abramow-Newerly i wielu innych autorów, którym trudno chyba odmówić profesjonalizmu i „pewnego poziomu proponowanej rozmowy”. Zmartwiłbym się tym, że nikt – czy prawie nikt – nie wystawia już istniejących, często znakomitych sztuk Tadeusza Słobodzianka, Krzysztofa Wójcickiego czy Jerzego Żurka.

Zmartwiłbym się wreszcie – przede wszystkim – tym, iż teatr zatracił swą dawną, niemal magiczną moc przyciągania do siebie ludzi myślących i poszukujących – co dotyczy zarówno publiczności, jak i potencjalnych autorów dramatycznych: poetów, literaturoznawców czy filozofów, którzy niegdyś tłumnie wypełniali teatralne palarnie (a bywało, że i garderoby).

Teatr, jaki chciałby robić Tadeusz Bradecki, powoli się kończy. Nie artystycznie, lecz społecznie i towarzysko. A pierwszym tego objawem jest cichy uwiad dramaturgii – choć nie jest to uwiad starczy. Oczywiście namieszala tu i polityka, odciągając ludzi (również teatru) od sceny sztucznej ku tej prawdziwej, gdzie – w parlamencie, partiach, telewizji, prasie – rozgrywają się rzeczy realne, rozstrzygają się sprawy.

Ale wiele zawinił również twórca teatru. Od dawna zdają się wierzyć, iż to, co robią, jest przede wszystkim aktem formalnym, a to, co mówią – pretekstem do układania klocków, z których powstanie ostateczny efekt – przedstawienie. Nawoływanie innych do perfekcjonizmu jest przede wszystkim dowodem własnej niemocy. Dowodem drugim może zaś być repertuar naszych teatrów – mdły, uciekający od odpowiedzialności, w najlepszym razie komercyjny i nowinkarski (to przynajmniej dowód jakichś ambicji).

których planach repertuarowych Starego Teatru, jaki wydrukowaliście Państwo parę tygodni temu (chyba, że związek ów polegać miałby na braku Jego utworów w tychże najbliższych planach). Dlatego też sił w sobie do odpowiadania p. Zawistowskiemu nie znajduję.

Jeżeli jednak rzeczywiście decydujecie się Państwo na druk owych sześciu stron, pozwalam sobie ociekiwać ze strony Państwa równoczesnego, powtórnego druku rzeczzonego wiadu, tym razem już bez błędów i przeinaczeń.

Łączę wyrazy szacunku  
Kraków, 08.03.1991  
Tadeusz Bradecki

„Nie wierzę byśmy mieli jakiegoś Szekspira a nikt nie chciałby zaryzykować dla niego pieniądze” – powiada jak najszlachetniej Bradecki. Zapomina jednak, że wciąż jeszcze ryzykuje się pieniądze (fakt, iż coraz mniejsze) dla legionu reżyserów i dyrektorów, którzy również Szekspirami nie są: że zawód dramaturga opłacany jest w tej chwili nader miernie, gdyż państwo dotuje bilet (więc instytucję), nie zaś tantiemę (czyli pisarza), o czym zresztą wielokrotnie pisano i mówiono.

Problem nie leży więc w pieniądzu, ani w „poziomym” i profesjonalizmie, lecz w mentalności ludzi teatru, którzy przez 45 powojennych lat przyzwyczaili się żyć w swoistym azylu nieodpowiedzialności, gdyż ich wybory repertuarowe i artystyczne rozliczane były przez ideologów, decydentów i – ewentualnie – subtelnych eseistów, nie zaś przez księgowych i publiczność.

Obecne nawoływanie do komercjalizacji czy prywatyzacji teatrów długo jeszcze będą trafiać w pustkę, gdyż komercja w ujęciu polskiego reżysera to: *Koziołek-Matolek*, wieczór piosenek Brela, kabaret pana Janka, albo *Dekameron* z gołą pupą. Jeśli powstanie prawdziwy teatralny „rynek”, znajdą się również

autorzy, którzy będą potrafili dostosować swoje pisanie do jego praw. Efekty mogą być dobre albo złe i zapewne takie właśnie – skrajnie różne – będą. Ale zanim doczekamy się polskiego Taboriego, Petera Schaffera czy Sama Sheparda, teatr musi zacząć dostarczać polskim widzom nowych polskich tekstów, gdyż taka jest – zapomniana w Warszawie i Krakowie – istota tej dziedziny sztuki. Nie jest to kwestia „ochrony krajowego piśmiennictwa” czy „wartości narodowych”. To problem nawet ważniejszy: czy teatr będzie się nadal społecznie alienować, odpływając w stronę formalnych poszukiwań (uniwersalnych, acz abstrakcyjnych); czy skostnieje w pewnej konwencji literackiej, obracając w kółko kilkanaście tytułów (jak to się stało z operą); czy wreszcie spróbuje nawiązać ponownie zerwany społeczny dialog, istnieć w konkretnej społeczności – choćby jednej dzielnicy czy niewielkiego miasta. Tak jak to się dzieje w Anglii czy USA, gdzie dziewięćdziesiąt procent wystawianej produkcji to współczesne sztuki amerykańskie. Nikt nie wystawi nic innego, gdyż nic innego nikogo nie interesuje. Dokładnie tak jak u nas, co jasno tłumaczy, dlaczego teatry są puste.

Pokłóciłem się niedawno – wstyd przyznać – ze znajomym ministrem, o co akurat w Gdańsku nietrudno (to znaczy o ministra, nie o kłótnię). Poszło oczywiście o teatr, mecenat państwowy, sposoby finansowania kultury. Mój rozmówca miał w tym względzie poglądy liberalno-radykalne, więc niebezpieczne, a jednym z jego argumentów przeciw teatrowi (trochę upraszczam, za co przepraszam), było to, iż nie oglądał żadnego przedstawienia od piętnastu lat.

Takich ludzi jest bardzo dużo. Wykształconych, kulturalnych, odczytanych, przygotowanych do rządzenia krajem. Nie ich wina, że nie obchodzi ich teatr, nie ich wina, że traktują nas jak żywy skansen. Być może „cały świat jest teatrem”, ale na pewno „teatr nie jest całym światem”. Jedziemy na jednym wózku, panie Tadeuszu.

luty 1991

PS. American Repertory Theater David Hare. David Mamet George Tabori. „Godzina kota”. Tadeusz Różewicz. Tadeusz Różewicz. Tadeusz Różewicz. Janusz Głowacki.

Serdecznie przepraszamy p. Tadeusza Bradeckiego, p. Natalię Adaszyńską oraz Czytelników za błędy, które znalazły się w tekście wywiadu w nrze 5 „TL”.

Redakcja

## Teatr na Wielki Post

Wiele lat temu w Teatrze Guliwer przy ulicy Różanej w Warszawie dokonała się, jak to ładnie nazywają ludzie uczeni, moja inicjacja teatralna. Pamiętam, że jako „działka szkolna”, wypełniając salę po brzegi, z rozdziawionymi jarami oglądaliśmy *Cudowną lampę Aladyna* lub jakiś podobny wytwór sztuki lalkowej. Wtajemniczenie okazało się na tyle głębokie, że już wkrótce chodziłem na przedstawienia Szajny, Hanuszkiewicza i do Starej Prochowni. Do Guliwera nie zaglądałem, ale z okien swojego mieszkania prawie codziennie obserwowałem taki widok: wycieczki milusińskich, karnie w parach prowadzone przez wychowawczynię właśnie na ulicę Różaną.

W grudniu ubiegłego roku znów zasiadłem na widowni Guliwera. Jarnuszkiewicz rozpoczął swoją dyрекcję trzydniową premier. Zaraz potem przeczytałem w „Teatrze” wywiad, w którym Jarnuszkiewicz powiedział między innymi, że mierzi go publicystyka na scenie, że woli poezję i mówienie o najważniejszych sprawach człowieka. Nie krył rozczarowania naszym aktorstwem: „dla mnie było szokiem, kiedy usłyszałem, że gdy aktorzy przestają mówić językiem cudzym, a zaczynają swoim, to rozmawiają na zupełnie inne tematy. Jarnuszkiewicz wyciągnął konsekwencje ze swoich doświadczeń i wszedł do teatru, w którym nie ma aktora. Teatr lalkowy umożliwia teraz realizację marzeń i ambicji wziętego ongiś scenografa.

Ostatnio Jarnuszkiewicz pokazał w Guliwerze drugą wersję *Scen pasyjnych* – przedstawienia, które przygotował razem z Romanem Woźniakiem już parę lat temu w Teatrze Nowym. Rzecz jest bardzo prosta. Za pomocą specjalnych mansjonów, w których umieszczono lalki, opowiedziano o ostatnich dniach Chrystusa: od wjazdu do Jerozolimy, przez Modlitwę w Ogrójcu, Ostatnią Wieczerzę, Sąd Piłata po Ukrzyżowanie i Zmartwychwstanie. Plastyka lalek wyraźnie nawiązuje do tradycji sztuki średniowiecznej. Jest w niej delikatny akcent jarmarczno-tandetny, ale także duży ładunek szlachetnej symboliki. Na przykład drogę krzyżową pokazano za pomocą procesyjnych sztandarów, na których wyszyto kropelki z pluszowego materiału. Z każdym pojawiającym się sztandarem kropelki rosną i zmieniają barwę aż do purpurowej. Aktorów w spektaklu nie ma, jeśli nie liczyć osób animujących lalki. A lalki rzeczywiście „zagrały” lepiej od prawdziwych aktorów. Pomimo statyczności jest coś w nich, co banalnie można by nazwać wielką prawdą uczuć: smutku, cierpienia, tragiczmu. Nastroj kontemplacji dopełnia *Pasja według Mateusza* Bacha. Muzyka i obraz stworzony na scenie wzajem się dopełniają. Muszę jednak powiedzieć, że *Sceny* w Guliwerze zrobiły na mnie nieco mniejsze wrażenie niż za pierwszym razem. Przy Różanej spektakl jest rozgrywany w większej przestrzeni, co rozbija jego kameralność.

Jarnuszkiewicz chce w Guliwerze stworzyć dom dla tych artystów, którzy jak to określił: „do tej pory dostawali tylko przedsonki” – czyli takich, którzy swoją sztukę traktują serio i którzy coś istotnego chcą przez nią powiedzieć. Obecne czasy chyba nie sprzyjają tego typu planom. Dzisiaj przecież liczy się blichtr, huczność, przepych. Słychać zewsząd licytacje, kto ile włożył forsę w widowisko i czy ludzie wala drzwiami i oknami. Na *Scenach pasyjnych*, gdy je oglądałem, była garstka widzów. Co z tego, że to ludzie świadomi i wrażliwi... Czy Jarnuszkiewiczowi uda się przełamać stereotypowe mniemanie, że sztuka lalkowa nie jest wyłącznie dla dzieci? Nie wiem. Ale trzymam kciuki.

Wojciech Majcherek



# Shoah po polsku

Trzeba mieć wiele odwagi, by po filmie Lanzmanna, historycznych reakcjach na *Korczaka* Wajdy i tym podobnych ekscesach, zdecydować się na próbę opisu tak bolesnego i trudnego problemu, jak stosunek Polaków do Żydów w czasie okupacji. Ta ostatnia formuła to oczywiście eufemistyczne omówienie, w istocie chodzi po prostu o antysemityzm. By nakręcić film o polskim antysemityzmie, w dzisiejszej Polsce – trzeba być podwójnie odważnym. Nie bać się oburzenia ziomków (nastroje antysemityczne *hic et nunc są faktem*), czyli głęboko wierzyć w uczciwość swojego opisu (każde „obiektywnie” niezasadnione przesunięcie akcentów powoduje niebezpieczną reakcję łańcuchową po tej lub po tamtej stronie). Po drugie – nie bać się pustych sal kinowych: publiczność nie zawsze lubi płacić za – być może – pożyteczną przykrość wysłuchiwania gorzkich prawd, choćby były najprawdziwsze na świecie.

Miał tę odwagę Jan Łomnicki realizując swój najnowszy film. *Jeszcze tylko ten las* to tragiczna historia żydowskiej dziewczynki (doskonała, pełna świeżości i niepodrabianego wdzięku rola Joanny Friedman) przemycanej z warszawskiego getta na wieś przez polską opiekunkę (sugestywna, niekiedy irytująca kreacja Ryszardy Hanin).

Dzielo Łomnickiego drażni punktem widzenia, czasami także – sposobem stawiania pytań, nie można jednak zarzucić autorowi nieuczciwej powierzchowności w traktowaniu przedstawianych problemów. Dzieje się tak chyba za sprawą dość szczególnej formy narracji. Film Łomnickiego opowiada językiem klasycznie oszczędnym, co sprawia, że widz doprowadzony kamerą do zwyczajnego, prostego konkretnego – zaczyna wierzyć, dopatrując się w zainteresowaniu autora detalem – dociekliwości, chęci wnikięcia głębiej. Potrójna jedność dramaturgiczna (mimo toposu drogi, miejsce ciągle jest „jedno”) czyni ten utwór niepowtarzalnie kameralnym, pozwala osiągnąć atmosferę niezwykle zagęszczenia emocji.

Powiedzmy jednak wreszcie o jakie emocje chodzi. Otóż Łomnicki pokazał istotę polskiego antysemityzmu – głupią, kulturową skłonność, powierzchowną choć mentalnie głęboko zakorzoną antypatię, będącą mieszaniną zazdrości i pogardy, której jednak serio, zupełnie serio – traktować nie można. Dlaczego? Najlepszą odpowiedzią po wielokroć przywoływany casus Mosdorfa – przedwojennego wodza polskich nacjonalistów i antysemitów – zamordowanego przez Niemców za ukrywanie Żyda właśnie. Nie ma więc w filmie Łomnickiego antysemityz-

mu serio, tej szatańskiej siły, podstępnego żywiołu z *Kabaretu Fosse'a*. Niemców prawie nie widać. O nich wiemy już wszystko. Widać natomiast rozwodniony, głupawy, chciałoby się rzec – prowincjonalny antysemityzm Polaków. Czy przez to mniej wstrętny? Na pewno nie. Jeszcze dotkliwiej rani naszą dumę. To już na takie dziady zesłaliśmy, że nawet antysemityzmu z prawdziwego zdarzenia mieć nie potrafimy? Kilkomu napisami na murach Europy nie dogonimy. Dość ironii. Czas na podsumowanie.

Brakuje nam prawdy o nas. Zbyt długo nasładaliśmy się mitami czasu walki. Ucierpiała na tym literatura, ucierpiała kino. Może szkoda trochę, że Łomnicki nie wybrał innego hasła na przebudzenie nas z chocholego tańca. Bo antysemityzm to taki okropny, paskudnie niewygodny temat. Także – jak dotąd – najgorliwiej eksploatowany a przez to obrośnięty zbyt już długą listą tragicznych pomyłek. Ostatecznie jednak wad się nie wybiera. Film Łomnickiego sięgając w przeszłość pokazuje dzisiejsze relacje, dzisiejszych ludzi. Nawyki myślowe, stereotypy, okrutne uproszczenia,

chęć zrzucenia całej odpowiedzialności na okrucieństwo historii, prostackie usprawiedliwianie własnej podłości. Polacy.

Polacy wobec tragedii – pomocni za pieniądze, wrodzy z głupoty, szlachetnie bezinteresowni, sentymentalni, zbrodniczy... Jak ci na huśtawkach z „Campo di Fiori” Miłosza. Właśnie – po prostu ludzcy, ale przez to wcale nie usprawiedliwieni. Wprawdzie czasem odzywa się we mnie głos sprzeciwu: przecież, na Boga, aż tacy nie jesteście! to jednak muszę przyznać, że pesymizm Łomnickiego wydaje się niestety uzasadniony.

Czy Łomnicki miał prawo nakręcić taki film? Pytanie wcale nie takie głupie, gdy przyzna się, że uczciwość spojrzenia nie może być jedynym kryterium oceny. Ważny jest dla mnie osobisty stosunek twórcy do przedmiotu krytyki. Zatem odpowiadam: tak! – miał prawo! Stokroć większe niż Lanzmann (niezależnie od tego czy Lanzmann kłamał czy nie). Dlaczego? Dlatego, że jest Łomnicki Polakiem i wstydi się tego, co pokazuje, tak samo jak ja, o czym wiem, kiedy jego film oglądam.

Wojciech Tomczyk

# Ostatnie zadanie po polsku

Jedną z bohaterki filmu jest mała dziewczynka przez nieludzkie prawo przeznaczona na śmierć. Starsza kobieta podejmuje się wywieźć ją na wieś, gdzie dziewczynka będzie miała szansę przeżyć. Kobieta podejmuje się tego zadania za pieniądze. Chodzi o sporą sumę, jednak żadne pieniądze nie równoważą ryzyka ponoszonego przez kobietę. Otóż, za pomoc dziewczynce można zapłacić głową. Dziewczynka nie jest pierwszym dzieckiem ocalonym przez kobietę. Ma być ostatnim – przewodniczka coraz gorzej znosi napięcie: po drodze można napotkać uzbrojonych żołnierzy wroga, a spotkanie z nimi oznacza pewną śmierć. Można też napotkać obrzydliwych szantażystów – wygląd dziewczynki pokreślany jest jako, niebezpieczny. Znaczący to, że jej kolor włosów, owal twarzy zdradza przynależność do skazanym. Pierwsze pół godziny filmu rozgrywa się w mieszkaniach. Najpierw w domu dziewczynki, potem kobiety. Przez dalsze pół godziny trwa podróż pociągiem – tu właśnie pojawia się niebezpieczeństwo. Nawet dwa. Jednym jest wrogi wojsko, przeczesujące pociąg w poszukiwaniu nielegalnie przewożonych towarów. Jeszcze groźniejszy wydaje się być wyzuty z wszelkich uczuć szantażysta. Na szczęście przeciwstawia mu się człowiek prosty i przywoity.

Bohaterki wychodzą cało z opresji. Zaczyna się marsz przez tytułowy las. Pierwszy las, drugi, odpoczynek na łące i wreszcie las ostatni. Niebezpieczeństwo znów się pojawia i znów znika. Tym razem na chwilę. Wpadają w ręce wroga tuż przed osiągnięciem podróży. Wpadają w sposób zupełnie nonsensowny i przypadkowo. Tragiczny finał jest oczywisty od początku filmu. Wiadomo nie tylko, że wpadną, wiadomo który przedmiot stanie się przyczyną tragedii. Ta świadomość rzecz jasna osłabia napięcie towarzyszące pozostałym, czyli praktycznie wszystkim scenom filmu. Oczywiście trzecia sekwencja obrazu również trwa pół godziny.

W przedstawionym wyżej streszczeniu filmu Jana Łomnickiego *Jeszcze tylko ten las* wyeliminowano – co nietrudno zauważyć – słowa Żyd, okupacja, gestapo, szmalcownik, getto, etc. Chodziło o pokazanie zasadniczego błędu popełnionego przez twórców filmu. Otóż grzech ich polegał na zaniechaniu pewnych przemyśleń i na odwróceniu kolejności działań. Wedle mej wiedzy na początku pracy nad filmem artysta powinien myśleć w kategorii mitów, idei. Najpierw powinien sam sobie opowiedzieć historię bez dekoracji, konkretów, kolorytu. Dopiero będąc pewnym idei, dysponując mocnym kościem dramaturgicznym, można myśleć o konkretyzacji



historycznej. Sądę, że aby zrobić dobry film o holokauście należy na pewien czas o holokauście zapomnieć. Tymczasem scenarzystka filmu (Anna Strońska) i reżyser zaczęli kreowanie filmu od tego, co jest ostatnim zadaniem twórcy – od wyważania akcentów. Zamiast przesłania czy idei zaprzęta ich myśli „wydźwięk”. Historia opowiadana w taki sposób wcale historią nie jest. Powiązania scen znaczą niewiele. Film wypełniają obrazy banalne, dawno ograne pomysły dramaturgiczne i formalne. Wzajemny stosunek kobiety i dziewczynki zmienia się ze sceny na scenę bez powodu i niekonsekwentnie. Naczelnym nośnikiem informacji, emocji i myśli są dialogi. Obraz (jak czasem mawia się jeszcze o filmie) jest przegadany mimo że poszczególne sceny grane są bardzo dobrze. Wreszcie – zwykłym lekceważeniem widza jest umieszczenie w filmie dwu dubli tego samego ujęcia. Jednym słowem mamy do czynienia z filmem co najwyżej poprawnym. Jednocześnie, ponieważ polskie filmy od dawna przeznaczone są do czytania, nie zaś do oglądania – praca Łomnickiego

może stać się wydarzeniem. Film jest bardzo szlachetny. Od dawna przecież liczy się właśnie wydźwięk nie zaś walor. Od lat jesteśmy niewolnikami sytuacji, w której scena moralna czy polityczna zastępuje estetyczną. Ta sytuacja nie jest zdrowa. Właśnie z moralnego punktu widzenia.

P.S. – Kilka lat temu odbył się w polskiej telewizji seans nienawiści, w którym wykorzystano fragmenty filmu Claude'a Lanzmanna *Shoah*. Film ten postrzegany bywa jako efekt francusko-żydowskiego spisku przeciw Polsce i Polakom. Lanzmannowi zarzucamy skrajny antypolonizm, manipulację, kłamstwo. Celowa wydaje się prezentacja całości filmu w tejże polskiej telewizji. Określenie celowo jest niewłaściwe. Emisja ta jest konieczna. Nie może być tak, by nasz pogląd na Szoa jak i na *Shoah* został raz na zawsze ukształtowany przez komunistycznych macherów od propagandy. Wreszcie, moim zdaniem film Lanzmanna jest arcydziełem kina dokumentalnego.

W.T.



**...Pewne jest, że dopóki nie powstanie prywatna sieć telewizyjna w Polsce, dopóty będą się toczyły rozmowy o Radiokomitecie. Pojawienie się realnej konkurencji pomoże telewizji publicznej. I tylko tak mogą jej pomóc.**

**Anna Bokiej:** Nie jest chyba tajemnicą, że był Pan kandydatem na stanowisko prezesa Radiokomitecie. Jak Pan uważa, dlaczego otrzymał je Marian Terlecki?

**Mirosław Chojecki:** Myślę, że tu chodziło o przewietrzenie Warszawy, a oczywiście lepiej przewietrzać Warszawę Gdańskiem niż Paryżem. Poza tym zmieniła się w pewnym momencie osoba premiera. Wraz z nim przyszli trochę inni ludzie. O podobnym rodowodzie, ale jednak inni ludzie. Ponadto ja nigdy nie byłem pewien, czy chciałbym to robić naprawdę. Decydowały tu też względy osobiste. Moja rodzina ciągle mieszka w Paryżu.

– Jednak musiał Pan myśleć o tym stanowisku poważnie, skoro przygotował Pan plan pracy reorganizacji, czy wręcz likwidacji Radiokomitecie.

– Ta praca obliczona była jednocześnie na inne cele. „Kontakt” pracuje nad utworzeniem trzeciego programu telewizyjnego. W ciągu kilku miesięcy naszej obecności w TVP wyprodukowaliśmy około stu godzin programu. Myślę, że będzie to naszym największym atutem w walce z konkurencją. Trzeba tu wziąć pod uwagę, że nie ma w Polsce, ani gdziekolwiek indziej na świecie drugiej takiej instytucji, która własnymi siłami, w tym czasie, tyle by wyprodukowała.

– Skoro mówimy o atutach, to nie można pominąć wcześniejszego dorobku „Kontaktu”.

– Zatem trochę historii najnowszej. Firma „Kontakt” powstała w 1982 roku. Początkowo zajmowała się wydawaniem pisma o tej samej nazwie. W 1984 roku rozpoczęliśmy produkcję filmów. W związku z tym, że nie mogliśmy się one ukazywać w TVP, rozprowadzaliśmy je w kopiach video. Współpracowaliśmy z zachodnimi ośrodkami telewizyjnymi. Dostarczaliśmy im materiały z polskiego podziemia, ale nie tylko; robiliśmy też reportaże o tym, co działo się na Litwie, na Węgrzech, rejestrowaliśmy wydarzenia w Rumunii.

– Kto pracował w „Kontakcie”?

– Przede wszystkim od początku prowadzący „Video Kontakt” Tomasz Łabędź, Wojciech Leszczyński, Piotr Wejchert, który – w przeciwieństwie do dwóch poprzednich – Szkołę Filmową kończył nie w Paryżu, ale w Łodzi. Z „Kontaktem” współpracuje mnóstwo ludzi, wiele znakomości, choćby człowiek-legenda polskiej telewizji

– Witold Zadrowski, Agnieszka Holland...

– Z „Kontaktem” współpracował również obecny prezes Radiokomitecie Marian Terlecki.

– Pracował w „Kontakcie” nawet. Mieliśmy bardzo ścisłe związki ze Studiem Video Gdańsk. Wymienialiśmy materiały. Oni zajmowali się dystrybucją naszych filmów w Polsce, my natomiast służyliśmy pomocą techniczną, finansową.

– Natomiast teraz prezes Terlecki, pusz-

## Jak zreperować telewizję?

rozmowa z Mirosławem Chojeckim

czając w niepamięć lata owocnej współpracy, przysporzył poważnych kłopotów finansowych firmie „Kontakt”, zdejmując jeden z lepszych programów TVP – „Kontakt TV Paryż”.

– To jest duże nieporozumienie. Rzeczywiście byliśmy w poważnych tarapatkach, ale widać już pomyślny finał całej tej historii. Na szczęście wciąż zwyciężają sprawdzone prawa cywilizowanego świata.

– Powszechne jest wrażenie, że na razie poza zdejmowaniem dobrych audycji i zniechęcaniem fachowców tak naprawdę w Radiokomitecie nie zaczęła się zapowiadana gruntowna reforma. Niedosyt i zaniepokojenie pozostawiały emitowane niedawno „Interpelacje”, których gościem był prezes Terlecki wraz ze współpracownikami. Jaka jest pana koncepcja telewizji publicznej?

– Myślę, że moje pomysły na likwidację Radiokomitecie były zbliżone do tego, co myślał Marian Terlecki. Być może łatwo mówić o zburzeniu tej instytucji, kiedy jest się od niej jednakowoż oddalonym. W praktyce może się na przykład okazać, że nie ma odpowiedniej ustawy, która pozwalałaby te likwidatorskie plany urzeczywistnić. Nie ulega jednak wątpliwości, że struktura, która zatrudnia taką liczbę osób, nie może być

wydajna. Jeżeli w Radiokomitecie pracowałoby 2,5 tysiąca osób, a nie 12 800 byłoby znacznie lepiej. Zatem po pierwsze, publiczne radio i telewizja muszą służyć społeczeństwu, nie zaś tej lub innej władzy do realizowania jej – nawet najszlachetniejszych – celów. Organa państwowe nie mogą podejmować żadnych decyzji w sprawach radia i telewizji, które nie są przewidziane ustawami – poza mianowaniem prezesa. W tym celu należy zlikwidować Komitet do Spraw Radia i Telewizji. Stanowisko prezesa Radiokomitecie, dla odczarowania tej instytucji, nie powinno być stanowiskiem ministerialnym, ale stanowiskiem zwykłego dyrektora przedsiębiorstwa państwowego. Jako pierwszą czynność po objęciu stanowiska prezes powinien powołać, nie czekając na ustawę sejmową, komisję likwidacyjną. Likwidacja Radiokomitecie powinna nastą-

Jeśli już mówimy o systemie producenckim, czyli tym normalnym, to żeby ci zwolnieni operatorzy, reżyserzy telewizyjni itp. mogli znaleźć pracę, musi istnieć wolny rynek producentów. Istnieją takie firmy jak „Odeon”, ITI, wiele małych studiów, które zupełnie dobrze funkcjonują i realizują programy dla TVP. Nie można dopuszczać do sytuacji, w której pracownicy zatrudnieni na etacie wykonują jedną minutę programu tygodniowo. W systemie producenckim ci ludzie produkowaliby dużo więcej.

– Ten system również eliminuje z gry najsłabszych w zawodzie. Jak jednak rozwiązać ten problem w Radiokomitecie, gdzie – jak się zdaje – do tej pory nie działają obiektywne kryteria, nie cenią się fachowców, ale źle pojętą lojalność?

– W przypadku zawodu dziennikarza należy stosować dokładnie te same kryteria, które stosuje się choćby w przypadku szewca. Ten zawód jest zawodem wolnym, dlatego jeśli zdarzy się, że jakaś struktura czy okoliczności ograniczają dziennikarza, może on po prostu zmienić miejsce pracy. Jeśli jest dziennikarzem dobrym, to na pewno sobie poradzi. Pracownicy „Wiadomości” natychmiast się odnaleźli. Niemniej w tej materii wiele trzeba by odmitologizować. Dziennikarz na etacie przestaje być dziennikarzem, a staje się wyrobnikiem słowa. Jeśli brak stabilizacji jest dla niego problemem, to trzeba było pójść do pracy na poczcie i stemplować znaczki, a nie brać się za dziennikarstwo. Ja od 15 lat nie mam etatu, a pracuję dużo więcej niż 8 godzin i nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej. Natomiast tym, że PR i TVP traci fachowców, powinni martwić się przede wszystkim prezesi – nie dziennikarze.

– Na razie ciągle jest odwrotnie. Wróćmy jednak do Pana propozycji.

– Bardzo ważną jest sprawa dowartościowania ośrodków regionalnych. Z różnych powodów. Gdyby na przykład w telewizji częściej podejmowano problematykę regionalną, mniej by było nacjonalizmu w Polsce. Ponadto widzowie mają potrzebę identyfikacji z tym co jest na ekranie, dlatego trzeba pokazywać ich samych, to co jest im bliskie.

– Kiedy prosiłam Pana o rozmowę o tym, co się dzieje w Radiokomitecie, powiedział mi Pan, że nie chce mieć nic wspólnego z tą instytucją. Czy Pan to podtrzymuje?

– Tak, ale nie dlatego żebym miał coś przeciwko. Natomiast udało mi się do tej pory przeżyć niejako prywatnie – poza jakimikolwiek strukturami państwowymi (wprawdzie struktura zakładów karnych przygarniała mnie od czasu do czasu, ale to bez mojego przyzwolenia). Pewne jest jednak, że dopóki nie powstanie prywatna sieć telewizyjna w Polsce, dopóty będą się toczyły rozmowy o Radiokomitecie. Pojawienie się realnej konkurencji pomoże telewizji publicznej. I tylko tak mogą jej pomóc

## Siedem punktów widzenia ...

rozmowa z Wojciechem Reszczyńskim

**Anna Bokiej:** Jak Pan tłumaczy to, że reforma Radiokomitecie utknęła w martwym punkcie?

**Wojciech Reszczyński:** Oczywiście nie chciałbym nikogo usprawiedliwiać, ale nawet gdyby pojawili się ludzie z koncepcją, to przecież zastali oni określony ład polityczny. Radiokomitecie jest wciąż instytucją rządową. Sejm przez 15 miesięcy nie zmienił tego stanu rzeczy. Niemniej dyskutowano przynajmniej kilka projektów ustawy o radiofonii i telewizji. Ustawy te zasadniczo różniły się od siebie i nadal nie ma zgody co do koncepcji funkcjonowania publicznie – prawnych elektronicznych mediów w demokratycznym kraju. W pracach nad ustawą odwoływano się do modeli zachodnich. Jednym z częściej przywoływanych był model BBC, ja jednak opowiadałbym się za takim modelem mediów publicznych, jaki istnieje w RFN – ponieważ w dużej mierze opiera się on na ośrodkach regionalnych, landowych. W Polsce obecnie niezwykle ważne jest uaktywnienie tych ośrodków. Poza tym łączy nas to, że my wychodzimy z komunizmu, Niemcy wychodzą z czarnego okresu faszyzmu i wprowadziły takie ustawodawstwo, w którym nie mogłoby się powtórzyć sytuacja, w której

istniał jeden dysponent polityczny. Niemcy doprowadzili do takiej sytuacji, w której instytucje kontrolujące wzajemnie się kontrolują. Istnieje również radio i radiofonii, powielona w terenie i jej skład jest znacznie szerszy niż ten, jaki się u nas proponuje. Tam powstaje ten pierwszy kompromis, tam łagodzi się emocje, tam dochodzi do wypracowania pewnych zasad, żeby tego nie widział już widz na antenie. Stan prawny, jaki wciąż obowiązuje w Polsce, jest niepokojący również z tego względu, że nie istnieje ustawa o ładzie informacyjnym w eterze. Nie istnieją regulacje dotyczące funkcjonowania tej instytucji w okresie wyborów. W związku z tym będą się wciąż pojawiały podejrzenia o wykorzystywanie tej instytucji, o manipulowanie nią.

– Casus „Obserwatora” wskazywałby na to, że kierownictwo Radiokomitecie – w przeciwieństwie do Sejmu – zmierza do ujednolicenia ład informacyjny, wykluczającego model oparty na pluralizmie, na niezależności informatorów.

– Może powstać wrażenie, że zamiarem obecnego kierownictwa jest zuniifikowanie, podporządkowanie. Nie sądzę, żeby tak było. Według mnie powinien istnieć jeden pro-

gram informacyjny, nadający dzienniki w obu programach TVP, ponieważ materia, jaką zajmuje się program informacyjny jest jedna, dotyczy ona wydarzeń, które dzieją się w jednym dniu. Oczywiście warunkiem byłoby tutaj optymalnie sprawna i obiektywna służba informacyjna. Tymczasem myśl o stworzeniu takiego układu napawa niektórych lękiem, ponieważ mają w pamięci doświadczenia z przeszłości. Jednak nierealizowanie koncepcji jednego programu informacyjnego wyłącznie o faktach doprowadza do jeszcze większego nieporozumienia, bo wkrótce może dojść do sytuacji, w której mamy siedem takich programów i siedem punktów widzenia na wydarzenia dnia, które zwykle, o ile są czystą informacją, zamykają się w pięciu minutach. Ta wielość i różnorodność oczywiście mogłaby istnieć, ale przeformulowana w programy publicystyczne, interpretujące, komentujące wydarzenia. Takie rozwiązanie zbliżyłoby nas do Europy, bo o tym, o czym mówiliby się w Europie, mówiliby ten program.

– Dopóki jednak środki przekazu będą agendą rządu czy prezydenta, takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia.

– To, że ta instytucja jawi się jako nieretoryczna, świadczy o tym, że nie żyjemy w demokratycznym państwie. Ten model, o którym mówię – jednorodny, spójny, prestiżowy – wymaga usytuowania Radiokomitecie poza władzą. Musi on istnieć niezależnie, niczym czwarta władza i walczyć o swoją

wiarygodność opierając się koniunkturalnym, zmieniającym się elitom władzy.

– Najbliższa przyszłość – to z jednej strony media publiczne, z drugiej niezależni producenci, telewizja i radio komercyjne. Jak widzi Pan podział ich ról?

– Media publicznie-prawne, utrzymywane przez społeczeństwo i również przez państwo, zobowiązane są pełnić rolę wzbogacającą nas kulturowo, światopoglądowo, edukacyjnie. Żadna stacja komercyjna tej roli nie wypełni. Oglądam ZDF, ARD – to tam pojawiają się ciekawe reportaże, dyskusje – długie wszechstronne, bogate. Bo też tam są na to pieniądze, środki i czas. Telewizja i radio komercyjne działają na zupełnie innych zasadach.

– Kiedy prosiłam Pana o rozmowę o tym, co się dzieje w Radiokomitecie, powiedział mi Pan, że nie chce mieć nic wspólnego z tą instytucją. Czy Pan to podtrzymuje?

– Tak, ale nie dlatego, żebym miał coś przeciwko. Natomiast udało mi się do tej pory przeżyć niejako prywatnie – poza jakimikolwiek strukturami państwowymi (wprawdzie struktura zakładów karnych przygarniała mnie od czasu do czasu, ale to bez mojego przyzwolenia). Pewne jest jednak, że dopóki nie powstanie prywatna sieć telewizyjna w Polsce, dopóty będą się toczyły rozmowy o Radiokomitecie. Pojawienie się realnej konkurencji pomoże telewizji publicznej. I tylko tak mogą jej pomóc

rozmowy przeprowadziła Anna Bokiej



György Faludy

Poszedłem przodem Egriego, ja zaś stanąłem za nosidłem. Mówił zawsze ten, który szedł z tyłu. Przy pierwszym podejściu zachwycałem się Gruszeńką z *Braci Karamazow*. Zrzuciliśmy kamienie i wróciliśmy do miejsca załadunku. Za stertą kamieni zacząłem mówić o Gitonie z *Uczty Trymalchiona*. Podczas trzeciego kursu weszło słońce, a kiedy przykłąkliśmy za stertą kamieni czekała nas miła niespodzianka. Na niebieskim kamieniu kształtem przypominającym biurko, opalała się salamandra. Lubilem tę odmianę dużych, powolnych, czarno-białych jaszczurek, które tak często wychodziły z pęknięć skalnych. Najbardziej podobało mi się to, że kiedy tak powoli się poruszały, często podnosiły przednie łapki do góry, tak jakby zapominały ich opuścić. Nóżki podobne były wówczas do wyciągniętych rączek bezbronych niemowląt.

Po kilku rundach wyczerpałem już zapas bohaterów literackich i przeszedłem do

## Moje wesołe dni w piekle

(fragment powieści)

omawiania Wenus Boticelego, Nefretete z muzeum kairskiego i bezgłowego posągu Afrodyty kyreńskiej; we wszystkich tych postaciach byłem zakochany.

— Czy kiedykolwiek wyobrażałeś sobie głowę Afrodyty albo ciało Nefretete? — zapytał Egri.

— Nigdy — odparłem z głębokim przekonaniem.

Ilekróć wracaliśmy do miejsca załadunku, tylekróć stwierdzaliśmy z radością, że nasza salamandra wciąż jeszcze opala się na niebieskiej skale. Liczyliśmy rundy. Po dwunastej zrobiliśmy dłuższy odpoczynek. Kiedy nieśliśmy trzynastą porcję, oczom naszym ukazał się zaskakujący widok. Więźniowie pracujący na poziomie kamieniołomów zastygli w bezruchu. Ci, którzy przygotowywali tłuczeń, stali nieruchomo z młotami w dłoniach, podobnie jak taczkarze i ci, którzy układali szyny pod wózki. Wszyscy patrzyli w jednym kierunku — na skraj poziomu kamieniołomów. Jedyną ruszającą się istotą był Szuha, notariusz o lwiej grzywie, który swoje porcje chleba zwykł zamieniać na papierosy. Spokojnym krokiem podążał w kierunku, gdzie spotykały się ściany lasu, tworząc narożnik.

— Szuha! Gdzie? Nie wiesz pan, że nie można opuszczać miejsca pracy? Niech pan wraca, bo inaczej nogi z dupy powyrywam! — wrzeszczał Talián.

A Szuha w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Zadowolony i pewny siebie szedł po śniegu. Jego chód, jego ruchy nie były podobne do naszych; nawet głowy nie zwieszał tak, jak zwykli do czynić więźniowie. Był podobny do siebie sprzed lat, do wolnego człowieka, którego nie znałem. Szedł tak, jak z pewnością zwykł był spacerować zimowymi rankami, kiedy był jeszcze notariuszem. Powietrze wciągał z godnością, głęboko. Od czasu do czasu z rozstępnieniem spoglądał ku czubkom swoich butów, jakby chciał zbadać twardość śniegu lub grubość jego warstwy. Zrobił ze dwadzieścia kroków i bezszelestnie osunął się na ziemię.

Po kilku minutach Talián był już przy nim. — Mnie pan chcesz zrobić, stary zdechlaku? Możesz pan sobie symulować! — krzyczał i kopał Szuhę. Notariusz nie ruszał się. Talin przez kilka chwil przyglądał się mu bezradnie, a potem wziął na plecy na pozór martwe ciało — naczelnicy\* dostawali podwójne porcje jedzenia i nie pracowali — i biegiem przyniósł je z powrotem.

— Musza, Rącz, Czebe, Jónás! Zanieście tego patałacha do szpitala! Zameldujcie panu sierżantowi, że stracił przytomność. No, czego się gapiacie! Ruszać się! A wy — zwrócił się do pozostałych — na co czekacie? Całymi dniami jęczycie i mazgaicie się, jsk suche cipy, co nie dostały schabowego! Czego chcecie? Jeszcze nikt z was nie zdechl! Nikt, nikt! — mówił ze złością i rozglądał się dokoła, jakby szukał aplauzu.

Zrobiliśmy jeszcze dwa kursy, bez odpoczynku, zapomnieliśmy nawet o salamandrze. Kiedy wracaliśmy już chyba po raz ósmy, niosąc z siedemdziesiąt kilogramów kamieni, Pokomándy, nauczyciel historii, podniósł rękę. Oznaczało to, że chce, byśmy przy nim właśnie zrzucili kamienie, musiał z nami porozmawiać.

— Chłopcy już wrócili — powiedział szeptem. — Ács twierdzi, że nie do uratowania. Defatygacja.

— Jak to, defatygacja? — zapytał Egri.

— Śmierć głodowa. Tutejsza ctykieta wymaga, by niczego nie nazywać po imieniu — wyjaśnił Pokomándy.

Przez pewien czas znów bez słów dźwigaliśmy kamienie. Wreszcie Egri powiedział, że niezależnie od tego, jak bardzo wypada żałować notariusza, to jednak trochę i on sam odpowiada za swoją śmierć. Ten, kto zamienia chleb na papierosy musi umrzeć z głodu; my nie zamienialiśmy chleba na papierosy, a więc nie umrzemy z głodu. Po tym pocieszeniu zaproponował, byśmy po zrobieniu kolejnego kursu zapalili i to przy ognisku, przy którym wygrzewał się Talián. Zapalenie papierosa było jedynym legalnym sposobem przerwania pracy. Dawało poza tym szansę na krótkie trzy-czterosekundowe postoje przy ognisku. A poza tym nawet mocz musieliśmy oddawać dźwigając nosidło, mając jego druciany pałąk na szyi, tak, jak konie w zaprzęgu. Kiedy zaś musieliśmy iść na dłużej, trzeba było schodzić po zboczach. Na

\* György Faludy konsekwentnie posługuje się tą rosyjską formą.



ZBIGNIEW WALISZEWSKI

skraju lasu była latryna. Wypinaliśmy się nad długą żerdzią. W pobliżu zawsze siedział jakiś szpicel, który podsłuchiwał nasze rozmowy. Szeregowiec bezpieki, nazwiskiem Dücskó nierzadko chował się między drzewami i z ukrycia przyglądał się wypiętym tyłkom, kontrolował, czy przypadkiem nie symulujemy, to jest czy nie przychodzimy do latryny tylko po to, żeby odpocząć.

Po wypaleniu połówki papierosa poprawił mi się humor i wracając przywołałem na myśl moje zapomniane miłości: Dianę de Poiters; jasnowłosą Lukrecję Borgię, tak jak przedstawia ją fresk Pinturicchio u papieża Aleksandra VI; piękną kurtyzanę, Madame Sabatier, kochankę Baudelaire'a, Dianę Tycjana, Magdalenę Furiniego, Wenus Giorgione'a... Salamandra wciąż jeszcze opalała się na kamieniu. Ukłąkliśmy na płytkim śniegu i mówiłem dalej z zachwytem. Mówiłem już piętnaście minut, kiedy przypomniało mi się, że z kobietami całego świata nie mam i nie mogę mieć więcej wspólnego, niż z tymi; mam z nimi tyle wspólnego, co nic. Ważę mniej niż czterdzieści pięć kilogramów, moje żebra podobne są do sztachet rozpadającego się płotu, serce bije mi jak pęknięty dzwon; jeszcze osiem czy dziesięć tygodni i wszyscy umrzemy.

— W innych obrazach nie byłem zakochany — zakończyłem zdawkowo.

Ale słońce świeciło zbyt pięknie. Salamandra wyciągnęła długi język, glina pod śniegiem miękko obejmowała nasze kolana, Egri zaś nie rozumiał naglej zmiany mojego nastroju.

— Dobrze — powiedział. — Opowiadaj teraz o książce Aragona. Co ten idiota napisał o moralności wyższego rzędu?

— Co napisał — zacząłem zastanawiać się bezwiednie. Zamknąłem oczy i zobaczyłem twarz Aragona, taką jaką widziałem ją dwanaście lat temu w Paryżu, notabene sympatyczną. Cóż mu powiem, jeśli go spotkam? I czy warto mi będzie marnować na niego czas? Jestem zbyt rozchwiany uczuciowo, mam zbyt rozkołysaną wyobraźnię, bym pozostał konkretny. W tle twarzy Aragona widziałem plac Concorde, samochody jadące wokół fontanny, dziewczęta, obcych wsiadających do taksówek i spieszących studentów. A potem znów auta, wiecznie krążące w koło na Place de la Concorde, niezależnie od tego, czy będę żył, czy też nie. Wciąż jeszcze nie otwierałem oczu i widziałem plac Concorde z obeliskiem w zrenicy mojego oka, czując jednocześnie ciepło upalnego jak na grudzień słońca. Nagle poczułem zapach pachnidła, nadszedł ostry, bezlitosny, tak jakby ktoś wetknął mi pod nos butelkę z amoniakiem.

Otworzyłem oczy i napotkałem przerażone spojrzenie Egriego. Było za późno. Tuż przy skalnej ścianie, gdzieś w odległości dwudziestu metrów, pojawił się Wipla. Zbliżał się. Unosił wysoko swój duży, ostry, różowy nos, wbijając go w powietrze, zaś otwartymi ustami wskazywał wprost na nas. Mimo, że odczuwałem silny strach, pomyślałem, a właściwie przypomniałem sobie, gdzie widziałem tę twarz rodem ze średniowiecza. Na obrazach niderlandzkich mistrzów; była podobna do twarzy rzymskich najemników stojących pod krzyżem Chrystusa. Nie chodziło jednak o tych z bezwzględny wyrazem twarzy, którzy grają w kości o płaszcz Jezusa, lecz raczej o obojętnych, którzy gapią się przed siebie, stojąc w tle.

W rękę trzymał czekan. Bardzo zły znak! Jeśli miałoby go zadowolić obsztorowanie nas, to już by wrzeszczał. Nie ma wątpliwości, że będzie nas kopał po brzuchu; skopie, a potem da w twarz. Z przerażenia zapomnieliśmy wstać. A przecież będzie nas kopał dlatego, że odpoczywamy. Jeżeli więc pozostaniemy na klęczkach, to tym bardziej go rozwścieczymy.

dokończenie na s. 15



# György Faludy czyli zapiski z piekła

György Faludy, wybitny węgierski poeta, prozaik i tłumacz, obchodził niedawno osiemdziesiąte urodziny. Debiutował jako poeta w pierwszej połowie lat trzydziestych, później opublikował przekłady wierszy Villona. Zyskał dzięki nim ogromną popularność, choć jego krytycy uważali, że są one odległe od oryginałów. Niedługo przed wybuchem II wojny światowej – podobnie jak wielu jego kolegów – wyjechał z Węgier. Zdawał sobie sprawę z zagrożeń wynikających z tego, że w Niemczech władzę przejął Hitler.

Tak właśnie zaczyna się obszerna autobiograficzna powieść Györgya Faludyego *Moje wesole dni w piekle*, wydana na Węgrzech w roku ubiegłym. Jest to relacja z metaforycznie rozumianej podróży w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie „jaki jestem?”, „jaki jest świat, w którym przyszło mi żyć?”. To życiorys człowieka, któremu los nie oszczędził prób i przygód. Z Francji – przez Portugalię – trafił do Afryki. Casablanca była tylko przejściowym etapem podróży. W 1941 roku Faludyemu udało się wyjechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywał przez pięć lat, redagując między innymi jeden z najważniejszych emigracyjnych węgierskich tygodników „Harc”. Aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym węgierskiej emigracji, obserwował zmiany, jakie w niej zachodziły. Do armii amerykańskiej zgłosił się na ochotnika, ale nie służył długo. Nie przyjął oferowanego mu obywatelstwa amerykańskiego, zawsze bowiem chciał powrócić na Węgry.

Przyjazd na Węgry przyniósł wiele rozczarowań i tragedii. Okazało się, że deklarowane demokratyczne przemiany są w istocie pozorne, że partia komunistyczna konsekwentnie, korzystając z argumentu siły, dążyła do wyeliminowania swoich wcześniejszych sojuszników, w tym socjaldemokratów, ugrupowania, z którym Faludy związał się od roku 1931. Powieść *Moje wesole dni w piekle* to książka pełna ciekawych refleksji nad metodami sprawowania władzy, opisująca jej mechanizmy w nowych warunkach. Faludy pisze między innymi o procesie Rajka. Dowodzi, że proces miał niewiele wspólnego z realiami. Opisuje też mechanizmy funkcjonowania służby bezpieczeństwa, aresztowania, które najpierw były zaskoczeniem, później zaś stały się codzienną praktyką życia politycznego na Węgrzech.

Kiedy któregoś dnia 1950 roku znalazł się jako więzień w „centrali” węgierskiej bezpieki, właściwie – jak pisze – poczuł ulgę. Na aresztowanie czekał półtora roku. Siedząc w celi i chcąc się przekonać czy jest przy zdrowych zmysłach, zaczął mówić półgłosem wiersz Symonidesa ku czci Spartan, którzy zginęli pod Termopilami.

Ilustruje to może w pełni podejście Faludyego do przeciwności losu, jakie przyszło mu pokonać. Jego przewaga nad oprawcami polegała na ogromnej wiedzy, z której czerpał otuchę nie tylko on, lecz także współtowarzysze niedoli. Tak było w karnym obozie w Recsk, o którym wówczas, pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych opinia publiczna nie wiedziała nic. Do dziś uznawany jest za najcięższy obóz karny na Węgrzech.

Faludy opisuje wszystko przez co przeszedł rzeczowo i z dystansem. Jest obserwatorem obdarzonym poczuciem humoru, w warunkach, w jakich przebywał, i wobec zagrożeń, z jakimi przyszło mu stanąć twarzą w twarz, było czymś wyjątkowym. Składając zeznania o swoich domniemyanych kontaktach z amerykańskim wywiadem, powiedział, że zaangażowali go trzej agenci: Edgar Allan Poe, Walt Whitman oraz Zebulon Edward Bubbel, czyli Belzebub. Oficer prowadzący przesłuchanie kazał to zaprotokołować, a rysopisy agentów zostały bezzwłocznie przekazane na wszystkie przejścia graniczne. Nie można było przecież dopuścić do tego, by pracownicy Counter Intelligence Corps przybyli niezauważeni...

W tym przejawiała się siła oporu, siła wynikająca z przewagi, której nie sposób było zniweczyć biciem, torturowaniem. I na tym polega optymizm książki. Faludy nie pozostawia żadnych wątpliwości: tyrania skazana jest na upadek, a pewność siebie i buta wielu jej przedstawicieli zniknie w chwili, kiedy poczują się zagrożeni. Oprawcy bez poparcia są tylko cieniami.

György Faludy wyjechał z Węgier w 1938 roku, powrócił w 1946, aresztowany w 1950 roku, z obozu w Recsk wyszedł po trzech latach. W roku 1956 zdecydował się na ponowny wyjazd na Zachód. Wyjeżdża na Zachód po raz drugi, wiedząc, że nie wytrzyma kolejnego uwięzienia. Chciał poza tym pokazać „zasady działania systemu”, o którym do 1963 roku właściwie nie można było pisać, a później, do 1988, też nie wszystko. Po trzydziestu dwóch latach wrócił i w 1989 osiadł na stałe na Węgrzech.

Publikowany fragment zatytułowanej *Recsk*, pochodzi z piątej części wspomnianej powieści.

Szczepan Woronowicz

*Dopisy Milady Horákové*, Praha 1990 Nakladatelství Lidové noviny; wstęp i komentarz Zdeněk Urbánek; s. 79, wyd. I, 27 koron.

Jak doskonale wiadomo, stalinowskie reżimy w Europie Środkowej nie stroniły od procesów pokazowych, w których obwinieni o najróżniejsze wymyślone zbrodnie „wrogowie narodu” skazywani byli przy głośnym aplauzie prasy na surowe wyroki, ustalane już przed początkiem sprawy. Rzadko jednak na ławie oskarżonych zasiadały kobiety. Bodaj jedyną kobietą skazaną w takim procesie na karę śmierci była Czeszka Milada Horáková, doktor praw, działaczka polityczna, zdecydowana stronniczka linii Masaryka i Beneša. Od początku niemieckiej okupacji Czech i Moraw brała udział w ruchu oporu. Wraz z mężem aresztowana przez Gestapo w sierpniu 1940 roku, otrzymała wyrok śmierci, zmieniony na długoletnie pozbawienie wolności. Więziona była w Pradze, Terezynie i kilku miastach niemieckich. Do Pragi powróciła 16 maja 1945 roku. Wybrano ją posłanką do parlamentu, była wiceprzewodniczącą Związku Więźniów Politycznych (z okresu okupacji). Po gwałtownej śmierci Jana Masaryka, wkrótce po przewrocie komunistycznym w lutym 1948 roku, jako jedyna demonstracyjnie zrzekła się mandatu poselskiego. Aresztowana przez czechosłowacką służbę bezpieczeństwa, stanęła przed sądem na prze-

## Listy Milady Horákovéj

łomie maja i czerwca 1950 roku. W zainscenizowanym procesie zapadło kilka wyroków śmierci, oprócz Horákovéj skazano między innymi Závaša Kalandru, znanego teoretyka surrealizmu i wybitnego historyka, notabene człowieka o orientacji lewicowej. 24 czerwca Sąd Najwyższy wyrok na Horákovéj zatwierdził. Klement Gottwald, ówczesny przywódca komunistycznego państwa czechosłowackiego, nie skorzystał z prawa łaski. Mimo protestów wielu sławnych przedstawicieli nauki (między innymi Alberta Einsteina), sztuki i światowej polityki, rankiem 27 czerwca wyrok wykonano. Horáková osierociła kilkunastoletnią córkę Janę (ojcu udało się przy próbie aresztowania zbiec i przedostać potem za granicę; ucieczką tą prawdopodobnie uratował życie).

W celi śmierci Horáková napisała kilka listów, których adresatom mimo ich próśb (o istnieniu listów rodzina dowiedziała się podczas jedynego widzenia na krótko przed wykonaniem wyroku) nie wydano. Nawet w roku 1968 na próżno żądali oni przekazania tych ostatnich kartek. Dopiero po „aksamitnej rewolucji”, na początku bieżącego roku, pani minister sprawiedliwości Dagmar Burešová oddała odnalezione listy niektórym adresatom (inni nie doczekali tej chwili). Za ich zgodą opub-

### Milada Horáková

## Ostatni list do rodziny

(Praga, więzienie na Pankracu, 27 VI 1950 r., dwie i pół godziny przed egzekucją),

### Najmilsi moi!

Jeszcze parę słów. Nasze spotkanie przyniosło mi ogromną ulgę. Tylko Vieruszka bardzo mi leży na sercu i to przyszłe, którego życie przyjdzie za moje. To szczególnie zbiedz okoliczności: kiedy miała się urodzić Jana, zrobiła jej miejsce na świecie nasza mamusia. Teraz z kolei przeprowadzam taką wymianę ja. Ukochana, najdroższa moja siostrzyczko, będziesz mama, ktoś, kto ujrzy nowy świat, domaga się swoich praw. Musisz żyć teraz dla tego kogoś i tylko dla niego. Nie dawaj mu w swoim pierwszym podarunku serca obciążonego smutkiem i wywodzącym się z niego rozprężeniem. Wydaj na świat kwitnącego, zdrowego i pięknego człowieka. Niezależnie od tego, czy będzie to dziewczynka, czy chłopak, ma to być prawdziwy bojarzski junak! Błagam Cię, ma kolanach Cię błagam, Vieruszko, chroń go, ze względu na mnie, chroń go – na lepsze czasy. Modlę się w tych ostatnich chwilach za Ciebie i za szczęśliwy przebieg Twojej trudnej próby macierzyńskiej. Będziesz teraz miała dwoje dzieci. Wszystkich pozostałych proszę: teraz wszystko dla tego nowego życia. Pepiczku, tak bardzo na Ciebie liczę. Jamo, dzielna z Ciebie dziewczyna – dumna jestem z Ciebie – tylko niech ta Twoja dzielność służy temu, co buduje, nie burzy.

Jestem zupełnie spokojna, przygotowana. Był u mnie ksiądz proboszcz. Chociaż nie mógł przyjść dr Kuczera, bardzo mi wizyta księdza pomogła – prosiłam go, żeby także Wami się teraz zajął, przede wszystkim Wami. Wespzyjcie się na wszystkim, co Was może podtrzymać. Żyćcie, żyćcie! Taka piękna z Was trójka. Cierpienie dziadka także kładę na Ciebie – stójcie przy nim! Mama Horáková znajdzie oparcie w swojej wierze. Moje dziewczęta z Sadskiej – Viera, Aniczka i Boženka – też będą z Wami. Tyle Was tam – ja jestem sama, a także muszę sobie pomóc.

Nigdy nie wątpiłam w Waszą siłę, ale zaskoczyliście mnie. Jeszcze trochę będzie bolało, ale potem coraz mniej i mniej. Idźcie na łąkę, do lasu, tam w zapachu kwiatów znajdziecie jakąś cząstkę mojej osoby, idźcie na pola, patrzcie na to, co piękne, a zawsze będziemy razem. Patrzcie na ludzi dookoła, w każdym odbija się coś ze mnie. Nie jestem bezradna i zrozpaczona – nie udaję, mam w sobie tyle spokoju, ponieważ sumienie mam spokojne.

Załączam wydania listu, który do Was napisałam, w nim zawarty jest cały mój testament. Jest tylko dla Was, przynajmniej

likowało te niezwykle dokumenty praskie wydawnictwo „Lidové noviny”, bodaj najprężniejszy spośród edytorów powstałych po listopadowych przemianach. Tom wydany jest bardzo starannie – w twardej oprawie, zawiera krótki wstęp i komentarz, przynosi fotograficzne reprodukcje rękopisów części listów.

Listy Horákovéj, pisane w dniach 24–27 VI 1950 roku (ostatni na dwie i pół godziny przed egzekucją) w więzieniu na Pankracu, są wstrząsającym świadectwem niezwykle hartu ducha, przywiązania do najbliższych, prawdziwego patriotyzmu, świadectwem losu dzielnej, uczciwej kobiety zmagającej się z totalitaryzmem.

Aż po jej ostatnie słowa, wypowiedziane tuż przed śmiercią: „Ginę, ginę, tę walkę przegrałam, odchodzę z honorem. Kocham ten kraj, kocham ten naród, zapewniamy mu dobrobyt. Odchodzę bez nienawiści do was. Życzę wam tego, życzę wam tego”.

Historia oddała wreszcie Miladzie Horákovéj sprawiedliwość. Jej listy dotarły nie tylko do adresatów, ale i do tysięcy jej rodaków, a jedna z głównych ulic Pragi (dawna Obranců míru) nosi dzisiaj jej imię.

Leszek Engelking



ZBIGNIEW WALCZEWSKI

coś w tym życiu należy tylko do Was i innych, których tak bardzo kocham.

Wszystko mi się w ostatnich chwilach wydaje jakieś nierzeczywiste, a przecież liczę już minuty. Nie jest znowu tak źle – teraz tylko o Was chodzi, o mnie już nie. Bądźcie silni! Tak bardzo Was kocham, a taka miłość nie może przecież rozplynąć się, nie może zginąć. Nic na tym świecie nie ginie – wszystko jakoś rośnie dalej, w coś przenika i ożywa znowu. Idźcie zawsze tylko z tym, co bliskie życia. Trzymajcie się ze sobą, wspierajcie wzajemnie!

Jeszcze raz powtarzam: to nowe, nadchodzące życie bardzo mnie uspokoiło. Moja sztuka skończona – kurtyna opada, ale oto zaczyna się jakiś nowy spektakl. Niech teraz bohaterem będzie wspaniały, zwycięski heros – niech to już nie będzie tragedia! Tak bardzo Was kocham, tak bardzo. Cahuję Was i ścisłam. W myślach i modlitwach jestem zawsze z Wami. Grałam może kiepsko, ale intencje miałam dobre. Możecie mi wierzyć. Z pokorą przyjmuję wolę Boga – wyznaczył mi ten egzamin, a ja go teraz zdaję, pragnąc tylko jednego: żebym była posłuszna prawom Boskim i zachowała swoje ludzkie dobre imię. Nie płaczcie – nie smućcie się znowu – to jest lepiej, niż umierać powoli. Długiego więzienia moje serce już by nie wytrzymało. A tak polecę znowu na pola, na łąki, ku pagórkom i stawom, w góry i w doliny. Znowu będę wolna – no i ten spokój, ukojenie. Dajcie mi w darze ten spokój – tyle różnych przeszkód trzeba było pokonywać – chcę już iść. Nie zatrzymujcie mnie swoim lamentem. Musicie teraz żyć także za mnie. Cahuję Was. Cahuję. Z Bogiem – powrócę w Waszym synu albo córce. Już widzę, jak znowu jestem na świecie. Bóg wzmocni Was i teraz, żebyście mogli to dziecko wprowadzić w ten świat tak jak trzeba. Janiczko, kochanie, córeczko! Viero, siostrzyczko moja, Pepiczku, mój tato, babuniu, dziewczuszki moje, Viero, Aniczko, Bożko, i Ty mój błakający się gdzieś, drogi, jedyny, piękny mężu. Czuję, że stolicie tu razem ze mną. Teraz jeszcze tylko mocny uścisk dłoni. Budzą się już ptaki – zaczyna świtać. Idę z podniesioną głową – trzeba umieć także przegrywać. To żaden wstyd. Nawet nieprzyjaciel, jeśli nie jest wyzbyty uczciwości i honoru, nie przestanie wtedy odnosić się do człowieka z szacunkiem. W walce się ginie, a czymże innym niż walką jest życie? Bądźcie zdrowi!

Zawsze i tylko Wasza  
Milada

przełożył Leszek Engelking

Swoją ostatni list Milada Horáková napisała po jedynym podczas całego pobytu w więzieniu widzeniu z rodziną. Odwiedzili ją siostra, Věra Tůmová, szwagier Josef Tůma i córka Jana. Podczas widzenia, które odbyło się 22 czerwca wieczorem, Horáková dowiedziała się, że jej siostra spodziewa się dziecka.

L.E.

TYGODNIK  
LITERACKI



## Agnieszka Lipiec-Wróblewska

**ANDRZEJ PANUFNIK: Panufnik o sobie.** Autoryzowany przekład z angielskiego Marty Gilińskiej NOWA, Warszawa 1990.

*Świadectwo. Wspomnienia Dymitra Szostakowicza tak jak zostały opowiedziane Solomonowi Wołkowowi i w opracowaniu tegoż.* Z angielskiego przełożyła Barbara Dancygier, wyd. I NOWA, Warszawa 1987, wyd. II NOWA 1989

W 1938 roku Andrzej Panufnik, absolwent Konserwatorium Warszawskiego, rozpoczął studia dyrygentury u Feliksa von Weingartnera w Wiedniu. Edukację u znakomitego kompozytora, dyrygenta i pedagoga przerwała historia. Podczas jednego z wykładów do sali wmaszerowało dwóch studentów, którzy stanęli na baczność, głośno stuknęli obcasami i podnosząc prawe ramię w faszystowskim geście powitania krzyk-

Mimo podobnych w owym czasie założeń polityki kulturalnej, życie artystyczne Rosji i Polski znacznie się różniło. Szostakowicz rzadko wyjeżdżał za granicę. Jego stosunek do Zachodu był wrogi lub co najmniej sceptyczny, on sam przybrał maskę „jurodiwego”. „Spośród wybitnych rosyjskich kompozytorów – twierdził w *Świadectwie* – tylko dwóch wiedziało jak się sprzedać – Strawiński i Prokofiew. (...) Mam wrażenie, że to ich upodobania i smakowanie rozgłosu nie pozwoliło im być kompozytorami na wskroś rosyjskimi. W ich osobowościach wyczuwa się jakąś skażę, utratę jakichś ważnych zasad moralnych”. W przypadku Szostakowicza poczucie obcości w świecie pozostało niezmiennie mimo rosnącej popularności muzyki, która stanowiła zresztą gwarancję względnej wolności twórczej. Opera *Lady*

wątpliwości, których autor Symfonii Pierwszomajowej, nawet gdyby zechciał, nie jest w stanie rozwikłać. Dramatyczny monolog zmarłego w 1975 roku artysty okazał się i dla władz ZSRR i dla środowiska rosyjskich dysydentów nie do przyjęcia. Wiarygodność *Świadectwa* nie jest rozstrzygnięta, stąd etyczna refleksja nad życiem i dziełem Szostakowicza nie może przynieść prostego werdyktu. Jedno z późniejszych zdjęć kompozytora zatrzymało rozpaczliwy gest zasłonięcia oczu ukrytych za okularami. Na okładce *Świadectwa* nieruchome spojrzenie przebija szkła i przestrzeń ponad nimi. „Nie pamiętam już – mówi Szostakowicz – gdzie przeczytałem taką modlitwę: »Panie, daj mi siłę bym zmienił, co można zmienić; Panie, daj mi męstwo bym zniósł, czego zmienić nie można; Panie, daj mi mądrość, bym umiał oddzielić jedno od drugiego«. Czasem kocham tę modlitwę – dodaje kompozytor – a czasem jej nienawidzę, moje życie dobiega końca a ja nie mam ani mądrości ani siły”.

W 1987 roku Andrzej Panufnik wydał w Wielkiej Brytanii autobiografię, której polską edycję opracowała niedawno NOWA. Książka jest na tle naszej literatury pamięt-

zeń, które złożyły się na dramat człowieka i twórcy. Dotyczy to przede wszystkim okresu powojennego. Autor *Hymnu na Zjazd Zjednoczeniowy Partii* pamięta liczne kompromisy środowiska muzycznego, ale pomija własne. Nie sądzę by były to przypadkowe luki pamięci. Książka jasno wyklada cel kompozytora, niespełniony cel wielu artystów, *splendid isolation*. Dla Panufnika jest to podstawowy warunek kreacji. Spokój i niezależność, w których czasami mogą osiągnąć równowagę intuicja i intelekt. Stan tyleż ulotny, co dający efekty twórcze.

Abstrakcyjne figury, jakże często obecne gęsto na kartach *Composing Myself*, odsłaniają czytelnikowi stosunek Panufnika do świata. Jest to postawa uczciwej wstrzemięźliwości, analitycznego odbioru rzeczywistości. Postawa apolińskiego umiarkowania, powściągliwości i racjonalizmu. Wewnętrzne uporządkowanie znalazło odzwierciedlenie w *Symfonii Mitycznej*. Tutaj kluczem graficznym były koła. Sześć kół o tej samej średnicy stworzyło identyczne, siódme koło. „Pewnie istnieje jakaś prosta formuła matematyczna – przyznaje kompozytor – wyjaśniająca to zjawisko, które mnie wydało się prawdziwym cudem wzrokowym. Intrygowało mnie bez końca magiczne znaczenie owych kół, które robiły na mnie wrażenie przekonującego symbolu wewnętrznej harmonii”. Truizmem jest przypomnienie, że twórczość, każda twórczość ma wymiar moralny. Artysta jednak różnie reaguje na chaos. Często stara mu się przeciwstawić nadając sztuce prawa i reguły poza nią nie istniejące. Kiedy indziej przeciwnie – zanurza się w beładzie – każe wybrzmieć sprzecznościom, pogłębia dysonanse.

Owe dysonanse, „kanty” rzeczywistości, które powinien dostrzegać, które powinny go boleć – Panufnik lekkomyślnie wygładza. Już po ucieczce z Polski, wybór między dyrygowaniem a komponowaniem dyktowały względy finansowe. Panufnik był wtedy pierwszym dyrygentem i dyrektorem artystycznym w Birmingham. Pierwsza nagroda na konkursie kompozytorskim w Monako, oznaczała powrót do pracy twórczej. Poszukiwanie nowego wymiaru w zakresie języka muzycznego, odkrywanie we własnej wyobraźni czegoś odmiennego, znamionowało przełom lat sześćdziesiątych, o których Panufnik pisze: „Zdałem sobie sprawę, że nawet gdybym chciał, nie mógłbym dalej komponować takich utworów jak *suita Polonia, Rapsodia, czy Epitafium Katyńskie*. Choć napisałem je już po ucieczce, ich zawartość muzyczna pozostawała zdominowana przez tkwiącą we mnie polskość.”

Mniej więcej od tego czasu datuje się zainteresowanie jego twórczością najwybitniejszych dyrygentów (Leopolda Stokowskiego, Mahsa Schmidt-Issertedta, Seji Ozawy, Sir Georga Solti) i solistów (Yehudi Menuhina, Johna Ogdana i Wandy Wilkomirskiej). Utwory kompozytora drukuje jedno z najgłośniejszych wydawnictw nutowych „Boosey and Hawkes”. Ostatnia, *X Symfonia*, powstała na zamówienie prawdopodobnie najlepszej na świecie orkiestry Chicago Symphony Orchestra.

Historia sama wyznacza swoich bohaterów i rozdaje im role w spektaklu zła, winy i zadośćuczynienia. Pokazuje jak ci którzy w akcie pierwszym pozostawali w cieniu pionkami za plecami Uciekinierów, w akcie drugim stają się wzniośli i tragiczni. W prawdziwym dramacie nie ma bohaterów zupełnie czarnych (ci co ulegli i pozostali) i zupełnie białych (ci co wyjechali). Mobilność nie jest funkcją moralności, może bardziej osobowości. Co jakiś czas odkrywamy więc z trudem twórców – rozbitków: duchowo nieobecnych i okaleczonych. Bardzo trudno ich rozpoznać. Rzadko chodzą z podniesionym czołem. Rozbitkowie znikają niezauważeni i, jak Szostakowicz, pozostawiają po sobie wielki znak zapytania.

Po trzydziestu sześciu latach Panufnik odwiedził Polskę. Inny Wielki Uciekinier, Roman Palester, nie dokończył swojej podróży, którą – co bardzo ważne – rozpoczął dużo wcześniej niż autor *Composing Myself*, bo w roku 1949. Jego muzyki, podobnie jak utworów Panufnika, nie grano w Polsce do połowy lat 70., a później była „źle” obecna, jak pisze sam Palester w liście do Władysława Malinowskiego na rok przed śmiercią. Nigdy nie dowiemy się, co powiedziałby Palester o sobie, o swojej muzyce, swoim doświadczeniu życia i sztuki. Niezależnie od wad książki udało się to Panufnikowi. Sam komentuje swoją długą nieobecność. ■

# Skomponować przeszłość

nęli: Heil Hitler! Wtedy uczeń dostrzegł w kłapie garnituru Weingartnera miniaturę swastyki, „tak małą, że prawie niewidoczną”. Ostatni raz spotkał Panufnik swego wiedeńskiego nauczyciela w Londynie, na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej. Weingartner miał poprowadzić Wagnera w Covent Garden. Rozmawiali po koncercie. Według relacji Panufnika siedemdziesięcioletni muzyk namawiał go usilnie, by nie wracał do Polski. Pod koniec lata stypendysta powrócił jednak do Warszawy. Kilka dni później został podpisany pakt Ribbentrop-Mołotow.

Po wojnie, w czasie narastającego terrorku stalinowskiego, Panufnik pozostawał jedną z głównych postaci polskiego świata muzycznego. Był szefem muzycznym Filmu Polskiego, dyrygentem Filharmonii Krakowskiej, wreszcie dyrektorem Filharmonii Warszawskiej. Autor *Composing Myself* zapewnia, że stanowiska te otrzymał „dzięki występowi na cele dobroczynne w czasie okupacji”. Niezależnie od tego, jak wyraźnie widział wówczas Panufnik niebezpieczeństwo twórczenia w duchu ideologii marksistowskiej i wynikające stąd konsekwencje, przez cały czas był do dyspozycji władz PRL.

Sygnowana jego nazwiskiem krótka impresja z Kongresu Narodów („Przegląd Kulturalny” styczeń 1953) zawiera między innymi wyznanie: „Kongres Narodów tchnął optymizm i wspaniałą twórczą energię. Uświadomiłem to sobie słuchając V Symfonii Honeggera. (...) Muzyka tej symfonii jest pesymistyczna i przynębiająca. Prolog mówi o nadchodzącym końcu świata. Jakże

mocno na tym tle dała się odczuć atmosfera Kongresu”.

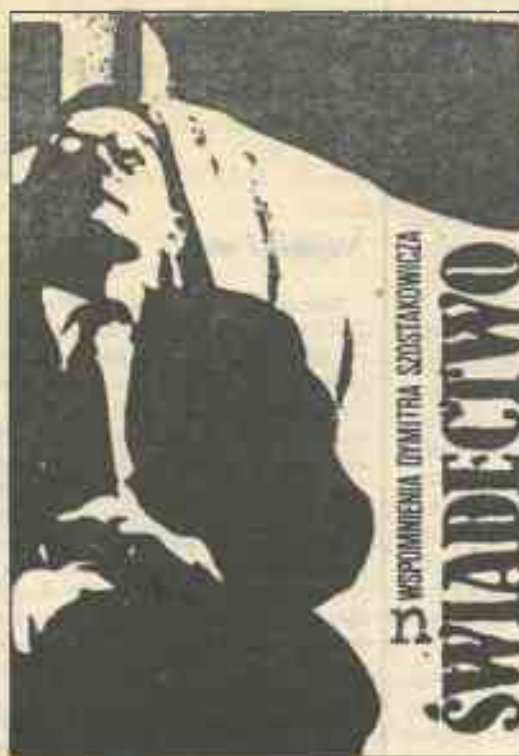
Notatkę zilustrowano zdjęciem dwóch mężczyzn. Młodszy, o ostrym ptasim profilu, rozprawia o czymś gestykulując, ręce starszego spoczywają spokojnie na poręczu, twarz zastryglą w uśmiechu ożywiają oczy utkwione w rozmówcy. Podpis pod fotografią informuje: Andrzej Panufnik i Dymitr Szostakowicz w przerwie obrad Kongresu.

Panufnik wyjechał z Polski dopiero w 1954 roku, kilkanaście miesięcy po śmierci Stalina. Latem tego roku udał się na zaproszenie Radia Zuryskiego do Szwajcarii. Stamtąd, po nagraniach, zamiast wrócić do Warszawy, odleciał do Londynu

*Mackbeth z mceńskiego powiatu*, po sukcesie w Moskwie i Leningradzie, została wystawiona w wielu miastach europejskich (premiera amerykańską przygotował Artur Rodziński). W 1936 roku w „Prawdzie” ukazał się artykuł redakcyjny (faktycznie podyktowany przez Stalina): „Chaos zamiast muzyki”. Od tej pory Szostakowicz miał zawsze przygotowaną spakowaną walizkę. Czekal.

W 1948 roku nazwisko Szostakowicza znalazło się na czarnej liście. Ale rok później Stalin zadzwonił do kompozytora, aby nakłonić go do wyjazdu na Panamerykański Kongres Kultury i Obrony Pokoju. Kompozytor musiał się zgodzić. Grając w Madison Square Garden myślał

nikarskiej czy wspomnieniowej pozycją nietypową. Muzycy rzadko objawiają się poprzez inne, poza muzyką media. Nieczęsto zdarza się także, by przedstawiany zapis życia był opowieścią o spełnieniu, zamkniętą kompozycją. W przeciwieństwie jednak do przejmującej spowiedzi Szostakowicza (trudno uniknąć porównania mimo różnych charakteru okoliczności powstania obu książek); przedstawiony przez Panufnika obraz rzeczywistości wydaje się powierzchowny. Nie tłumaczy autora fakt, że został on stworzony z myślą o czytelniku zachodnim. Jeśli Polska znajduje się na „pograniczu Europy”, to Panufnik, należący do duchowej elity świata, nie powinien ulegać



tylko o jednym: ile ma jeszcze życia przed sobą? Między artykułem z 1936 roku a późniejszym o dwanaście lat telefonem Stalina strach Szostakowicza zmienił się w rozpacz. Człowiek stał się kukłą, robił dokładnie to, co mu kazano. Doskonale wiedział, że jest pionkiem w cynicznej grze politycznej. Towarzyszący mu nieustannie strach był jednak o wiele silniejszy niż strach Panufnika. „Rozpacz i cynizm to dwie różne rzeczy – orzeka bohater *Świadectwa* – podobnie jak nuda i cynizm. Jeśli człowiek jest w rozpacz to znaczy, że ciągle jeszcze w coś wierzy”.

Opublikowana przez Solomona Wołkowa w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii (1979; polskie wydanie NOWA, 1987) autobiografia Szostakowicza – *Świadectwo* budzi

prokucie uproszczeń historii i heroizacji własnej osoby. Między deklaracjami a muzyczną praktyką zarówno u Panufnika jak i u Szostakowicza istniała oczywista sprzeczność. Fakty podane przez Wołkowa w *Świadectwie* są bez wątpliwości prawdziwe i budują niezafalszowany wizerunek twórcy (choć zdaniem rosyjskiej śpiewaczki Galiny Wiszniewskiej nie wszystkie one musiałyby być opowiedziane Wołkowowi przez Szostakowicza). Wewnętrzna emigracja Szostakowicza staje się moralną wartością, usprawiedliwia i milczenie artysty i jego uległość wobec władzy.

*Composing myself* znaczy tyle co budowanie, składanie, komponowanie siebie. Wspomnienia przywołane przez Panufnika odarte są ze zda-



# Główne problemy wiedzy o skrzatach

Wil Huygen: *Skrzaty*. Ilustrował Rien Poortliet. Z francuskiego przełożyła Barbara Durbajło, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1990

Krasnoludki, krasne ludki, kraśnięta, kraśnale, skrzaty, ubożęta, kłobuki, koboldy (vel: choboldy) – nazwy te nie brzmią obco dla ucha polskiego, a jednocześnie stwierdzić należy, iż nasza znajomość skrzaciego rodu nader powierzchowna. Automatyczne skojarzenie podsuwa dwa źródła: *O krasnoludkach i sierotce Marysi* oraz *Królowa Śnieżka i siedem krasnoludków*. Ale pozytywizm polski (a la Konopnicka) i amerykańska kultura masowa (w wersji Disneya to, przynajmniej moim zdaniem, dość odległe porządki. Sięgnięcie do księgozbioru podręcznego nie na wiele się tu zdało. Skądinąd sympatyczne *Przygody Niewiastki i jego przyjaciół* Mikołaja Nosowa uwikłane są jednoznacznie w funkcję dydaktyczno-wychowawczą, kreuując bohatera przystosowanego do życia w społeczeństwie. *Saga rodu Klaptunów* Macieja Wojtyłki, koncentruje się wyłącznie na akwatywności sferze rzeczywistości (okolice rzeczki Chlikawki). Fundamentalne prace J. R. R. Tolkiena, wyposażone w bogaty aparat przypisów (z rekonstrukcją języka elfów włącznie), również niewiele mogą pomóc. Nie inaczej jest z penetracjami rozmaitych poziomów podprzestrzeni, podejmowanymi przez Jimi Hensona. Nieustannie towarzyszyła mi świadomość, iż spora część otaczającego świata po prostu została zaniedbana przez badaczy. Konsultacje przeprowadzone przeze mnie wśród członków społeczeństwa, których wiek predestynował do bezpośredniego obcowania ze światem skrzatów czy krasnali, także zakończyły się niepowodzeniem: nie udało mi się przekroczyć bariery języka komputerowo-komiksowego, posługiwaliśmy się całkowicie odmiennymi kodami symboliczno-kulturowymi. Co więcej, charakterystyczne gesty moich rozmówców, ich stukanie się palcem w czoło, uświadamiały mi w pewnym przynajmniej stopniu anachronicz-

ność moich zainteresowań. Problem ponadto komplikował pewien wiersz Bolesława Leśmiana, zasługujący na przypomnienie:

Skrzeble biega, skrzeble przez lasy, przez błonie,  
Drapieżne żywcyki, upiorne gryzonie!  
Biegną szumnie, tłumnie powikłaną zgrają,  
A nie żyją nigdy, tylko umierają –  
Umierają, skomląc szereg za szeregiem.  
Śmierć jest dla nich właśnie tym po lasach  
biegiem.  
Śmierć jest dla nich pędem w niepochwytne  
cienie –

Biegną tylko po to, aby śnić istnienie.  
Świat im śni się w biegu – daleki i bliski,  
Śnią się własne ślepie, śnią się własne pyski,  
Śni się im, że mogą kasać jadłowicie –  
Weszą przez sen moje i to twoje życie,  
A ten sen łakomy wystarcza im prawie –  
Kogo gryzą we śnie, ginie ten na jawie –  
Gryzą we śnie boga, co sen stworzyć umiał,  
A ów dąb umiera, co dla niego szumił.

Zarówno istnienie skrzatów jak i skrzeble jest dla mnie faktem.. Atoli – jak to już sygnalizowałem, faktem dość kłopotliwym.

*Słownik folkloru polskiego* pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego podaje: „Krasnoludki – wedle wierzeń ludowych dobre duchy domowe, zwane też skrzatami, kraśniętami, ubożętami. K. Moszyński na podstawie materiału zebranego u różnych ludów słowiańskich stwierdził, że wiara w istnienie przyjaznych demonów domowych zachowała się lepiej u Niemców i Skandynawów, natomiast u Słowian występuje stosunkowo rzadziej, albo też, w przeważnej mierze, powstała później pod wpływem obcym, głównie niemieckim”.

Nieomal już byłam skłonny zagłębić się w kanoniczny repertuar rozważań: „skrzaty a sprawa polska”, „krasnoludki i problematyka społeczna”, kraśnięta a kwestia włościańska”, „krasnoludki – solidarność – lewica – okrągły stół – dialog” czy wreszcie: „Lech

Wałęsa a skrzaty”. Na szczęście, gdy pewnego wieczoru przymierzalem się do tematu: „nauczenie społeczne Kościoła a krasnoludki” – na moim biurku pojawiła się ta właśnie książka. Skąd się wzięła – nie mam pojęcia, zapewne ktoś musiał ją podrzucić. Zwazywszy na format dzieła – jestem pełen podziwu dla owego „ktosia”. Owego podziwu bynajmniej nie umniejsza informacja – oparta na obserwacji i eksperymentach – że przeciętny skrzat jest – na skutek mniejszego przyciągania ziemskiego i osobliwej budowy anatomicznej – siedem razy silniejszy od człowieka. W każdym razie książka jest okazała, ciężka i kolorowa.

*Historia, Gdzie żyją skrzaty, Wygląd zewnętrzny, Czapka, Fizjologia, Układ mięśniowy, Świat zapachów, Dolegliwości i lekarstwa, Rany i guzy, Transport rannych, Starość, Rodzaje skrzatów, Skrzaci kalendarz, Zaręczyny, ślub, rodzina, Budowa domu, Dzień jak co dzień, Przemysł domowy, Skrzaty a zwierzęta, Zabawy i gry, Język, Nocne małe i duże stworzenia, Skrzaty a inne stworzenia, Skrzaty a meteorologia, Wykorzystanie energii naturalnej, Narzędzia i wreszcie Skrzacie legendy* to tytuły kolejnych rozdziałów tej pracy, przynoszącej w formie monograficznych artykułów podstawowe informacje dotyczące występowania, życia i kultury skrzatów. Pracy nie obciąża balast przypisów i komentarzy, co w żadnym wypadku nie oznacza trywializacji problemu. Autor tekstu jak i autor doko-

nywanych z natury rysunków zrywają z dotychczasowymi przesądami i mitami, nie cofają się także przed kwestiami, które przekonanie potoczne, zamykające skrzaty w getcie pokoju dzieciennego, uważać może za drażliwe czy nawet wstydlive. Na szczęście autorzy nie dokonują projekcji ludzkiej moralności i mentalności na rzeczywistość opisywaną. Dzięki temu takie sfery jak fizjologia, rozmnażanie czy zwyczaj skrzatów przedstawione zostały bez zakłamania i niepotrzebnych niedomówień. Ta obiektywność naukowa pozwala także na pełne przedstawienie wyjątkowo odrażających i wstrętnych zachowań takich stworzeń jak trolle czy paskudy.

Jakiegokolwiek przytaczanie fragmentów tej pracy, prezentującej tajemnicę skrzaciego świata, całkowicie mijają się z celem. Książka ta wymaga starannej, powolnej, rozumnej lektury. Naprawdę znakomite ilustracje uzupełniają tekst, tworząc nierozłączną z nim jedność. Równocześnie nie ma naj-

mniejszego sensu, by po książkę tę sięgali ludzie pozbawieni poczucia humoru oraz osoby nie wierzące w istnienie skrzatów, przekonani, iż właściwą nazwą dla tych stworzeń jest infantylny termin: „krasnoludki”. Następnym etapem powinno być podjęcie rozmaitych badań szczegółowych, dotyczących skrzaciej religii, ideologii, moralności, estetyki, socjologii, a także rzeczywistych związków między skrzatami a ludźmi. To jest jednak kwestia przyszłości. Na razie staje przed nami zadanie rzetelnego poznania skrzata jako takiego i oparcie ludzkich i skrzacich stosunków na zasadach wzajemnego poszanowania i tolerancji.

Skoro istnienie skrzatów nie podlega żadnej dyskusji, dobrze byłoby też poznać, jak te stworzenia widzą ze swojej perspektywy ludzi. Mniemam, że folklor skrzaci skłoniłby ludzi do przynajmniej częściowej rezygnacji z dobrego samopoczucia.

Książka ta ma znaczenie nie tylko w wymiarze ogólnoludzkim. Ukazanie właściwych proporcji skrzaciego świata jest użyteczne i w naszej obecnej sytuacji. Wzbogacić może na przykład Tischnerowską refleksję dotyczącą kategorii „pracy nad pracą” – wszak do tej pory sporą część pracy wykonywać miały za nas skrzaty. Ale przede wszystkim lektura tej książki dostarcza prawdziwej przyjemności, której nie zastąpi żadna inna. I (mówiąc już całkiem poważnie) chyba o to chodzi.



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI „Nie oczekiwałeś tego po sobie” 1966

Hanna Milewska

## Apokalipsa według Odojewskiego

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI, *Zasypie wszystko, zawieje*, „Czytelnik”, Warszawa 1990, wyd. I krajowe.

Powieść Włodzimierza Odojewskiego należy do utworów, które powstały na przekór swoim czasom, z chęci oderwania się od powolnego biegu codziennych wydarzeń i pospieszenia tam, gdzie Historia szaleje, chwytając za ramię zwyczajnych ludzi. Odojewski nie ma „gawędziarskiego” temperamentu Konwickiego, który z nudy, marazmu i prowincjonalnego blichtru lat siedemdziesiątych wysnuł swoją *Małą apokalipsę*. *Zasypie wszystko, zawieje* napisane zostało w ciągu czterech długich lat gomułkowskiej małej stabilizacji, od stycznia 1964 do grudnia 1967 roku. Poczucie beznadziejności, upokorzenia, stopniowe dogorywanie marzeń i zamierzeń – ten klimat rozwijającej się bardzo wolno choroby obezwładniającej, ale w razie nie wstrząsał. Literacka Apokalipsa według Odojewskiego znalazła więc inny czas, inne miejsce, aby pojawić się w całej grozie: Ukrainę, lata drugiej wojny światowej.

Rozpad, rozkład, niepewność, oczekiwanie, poszukiwanie, a przede wszystkim – pogranicze – to słowa, które

wyrażają Apokalipsę. Koniec świata zaczyna się tam, gdzie świat jest najsłabszy, rozdzielany sprzecznościami, pozszywany słabą nicią z fragmentów nie pasujących do siebie. Pogranicze to zamieszkują Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie. W tyglu narodowości mieszają się różne języki, obyczaje, religie. Ukraińscy chłopcy nienawidzą polskich panów. Kraj przechodzi najpierw przez ręce Sowieców, potem Niemców i znów Sowieców. Powstają oddziały sprzyjające okupantom, oraz walczące z nimi. W rzezi wszystkich przeciw wszystkim, w pasji mszczenia i grabieży w równym stopniu cierpią wieś i dwory.

„Pogranicze” u Odojewskiego to także metafora, to znak sytuacji, w jakiej znalazły się poszczególne postacie. Aleksy Woynowicz – dopóki jego zwłoki nie zostaną odnalezione w Katyniu – nie należy do świata martwych ani żywych, Katarzyna przez ten czas nie jest ani żoną, ani wdową. Semen Gawryluk, bękart starego Czerestwińskiego, półkrwi Ukraińiec, w dwójnasób nienawidzi Polaków. Piotra Czerestwińskiego jakaś siła pcha w stronę okrutnego brata, jednocześnie napawając odrazą do niego. Paweł Woynowicz błąka się po spalo-

nej, okrwawionej ziemi ukraińskiej jak w malignie, na pograniczu snu i jawy, szukając śladów Katarzyny. I tylko przyroda wydaje się wieczna. Tak jak od stuleci – w stepie hula wiatr, sypie śnieg. Apokalipsa dotyczy Historii świata ludzi.

Aby opisać tę grozę, Odojewski posługuje się językiem, dla którego trudno znaleźć odpowiednik w polskiej prozie współczesnej. Styl Odojewskiego polega na utrzymaniu równowagi między wizyjnością a realizmem, między onirycznością a sensualizmem. Nie jest jednak tak, aby subiektywnym wspomnieniem odpowiadała wizyjność, a narracji opisowej – realizm szczegółów.

Całym tekstem włada ocean mowy pozornie zależnej i niezależnej. Ale świadkowie ukraińskiej apokalipsy zbyt wiele zła widzieli, aby raz jeszcze odtwarzać je w opowiadaniach. Dochodzą do granicy wytrzymałości, stawiają tamę swej wyobraźni. Wolą nie wiedzieć więcej, nie pamiętać, nie myśleć. To jeszcze jeden wymiar „pogranicza”.

Ukrainę z jej krajobrazem i mnogością kultur odkryli dla literatury polskiej romantycy. Do tej tradycji nawiązuje Odojewski – pisała o tym Maria Janion w szkicu „Cierń i róża Ukrainy” (*Wobec zła*). Jeśli szukać jakichś analogii ze współczesną sztuką polską, najbliższy takim obrazowi Apokalipsy wydaje się film Andrzeja Żuławskiego *Diabeł*.

Z pierwszym oficjalnym wydaniem powieści Odojewskiego Ukraina powraca do naszej świadomości historycznej. Choć na mapie geopolitycznej to już nie Rzeczpospolita, problem pozostaje.



# Droga

14 MARCA 1991

wspólnej walce elit politycznych, ktoś zapytał mnie trzeźwo: „A spodziewałeś się kiedy, że naszym największym zmartwieniem będzie fakt, że Polacy w wolnych i demokratycznych wyborach w niepodległym kraju trochę zanadto się klócą?”. Rzeczywiście, nie spodziewałem się, i ta zmiana skali naszych zmartwień winna pozostać przedmiotem naszego ciągłego zdziwienia. Zdarzyło się nam przeżyć moment historycznego przełomu. Moja powściągliwość dotyczyła nie skali tego, co się działo i dzieje, ale raczej stylu, w jakim wkraczaliśmy na scenę polityczną. Gdański stół obrad stoczniowych w 1980 roku budził we mnie więcej sympatii, niż stół okrągły. Inna rzecz, że ten drugi oglądałem już z bardzo daleka.

– Będąc na emigracji realizował Pan z ogromnym powodzeniem trudną i odpowiedzialną misję popularyzacji w świecie Zachodnim idealów i doświadczeń „Solidarności”. Czy jest to już zamknięty rozdział Pana życia? Czy w takim razie „Solidarność” istnieje jeszcze?

– Nie widziałem się z nią od dawna. Nie twierdzą, że nie istnieje, ale w pozapolitycznej płaszczyźnie ideowej nie zauważyłem jej istnienia od co najmniej roku. Być może istnieje, tylko doskonale daje sobie radę beze mnie. Tak jak jeszcze niedawno mówiło się wciąż o ethosie „Solidarności” tak dziś najchwytniejszym hasłem stało się hasło „powrotu do Europy”. Jak slogan ten odbiera człowiek, który niedawno zdecydował się „wrócić z Europy”?

– Cóż muszę przyznać, że to modne dziś hasło doprowadza mnie do silnej irytacji. Już Grecy twierdzili, że dwa razy do tego samego strumienia się nie wejdzie. Poza tym miałem okazję przez osiem lat przebywać w Europie Zachodniej i gdybyśmy mieli się stać kulturowo bliscy temu, co tam widziałem, to wołałbym w tym nie brać udziału.

– Co Pana szczególnie irytowało?

– Mnóstwo rzeczy. Choćby to, że kultura masowa utrudnia dostęp do kultury elitarnej. Tak, że nawet człowiek niezupełnie pozbawiony chęci chodzenia do teatru, bibliotek, etc., nie znajduje dla takich zachowań odpowiedniej atmosfery. Są jednak zjawiska ważniejsze. Tamta kultura jest podporządkowana filozofii wygody. Oczywiście w każdym kraju to wygląda inaczej. Ja to obserwowałem we Włoszech, Francji, w Szwajcarii i trochę w Belgii.

– Ale coś w tym złego, że ludzie chcą żyć wygodnie?

– Niech żyją, ale niech nie czynią z tego jedynej ideologii. Rezultat jest taki, że powiedzieliśmy sobie z żoną po przyjeździe do Szwajcarii: „Wszystko tu jest, ale sens, to trzeba przywieźć ze sobą”. Tak, że jednym z niebezpieczeństw związanych z ewentualnym powrotem do patriarchy polskiego byłoby bezrefleksyjne zapatrzenie się w Zachód europejski. Ponadto, jeżeli powrót do Europy, to skąd? Czy my, nie jesteśmy Europą? Suwałki są nawet Europą Środkową. Byłem ostatnio w Europie Wschodniej, w Samarze, paręset kilometrów od Uralu. To, wedle mnie, jest Europa Wschodnia. My jesteśmy Europą Środkową, może trochę półwielką, ale prowincję i to głuchą można spotkać i na Zachodzie. Kolejnym problemem jest to, że z Polski chcemy widzieć tylko Europę. Nie widzimy natomiast Trzeciego Świata. Nie interesujemy się nim i popełniamy błąd. Byłem trzy razy w Ameryce Łacińskiej, w sześciu krajach. Było to doświadczenie do tego stopnia ważne, że powiedziałem sobie: „Jeżeli nie do Polski, to jadę do Ameryki”, bo tam czuję się znacznie bardziej u siebie, niż w bogatej Europie Zachodniej. Nie powinniśmy bagatelizować tego podobieństwa. Trzecie sprawę – nie chciałbym wrócić do typowo polskiego lekceważenia naszych wschodnich sąsiadów. Stąd ogromnie mnie interesowało podczas mojej ostatniej podróży, co się stanie z kulturą Rosji, jaki model kultury, ideologii, czy tożsamości zbiorowej Rosjan ukształtuje się w najbliższej przyszłości. Wydaje mi się to, patrząc perspektywnie, ważne również w sensie politycznym i myślę o poważnym studium tego problemu.

– Jaka jest Pana prognoza, która z koncepcji Rosji stanie się dominująca?

– Solżenicyńska. Tylko ta może mieć za sobą tłum... tłum, bo na razie wolę jeszcze mówić o tłumie, a nie narodzie. Niewiele wiem o aktualnym stopniu ich integracji. Pewien jestem natomiast, że stare mechanizmy integracyjne zostaną uruchomione. Jednym z nich będzie na pewno ten wyznaniowy – prawosławny. Dziś jeszcze istnieje imperium komunistyczne, głównie jako system administracyjno-prawny, ale już zaczyna być widoczne imperium rosyjskie jako siła ideowa. Jest to interesujące i przerażające obserwować, jak jedno przeraża się w drugie, bo jeżeli to imperium trwało tyle lat bez przyzwoitej ideologii, to co może stać się

teraz, gdy wiadomo, że nacjonalizm rosyjski, prawosławny caryzm, jest mocniejszą ideologią od komunizmu. Toteż w myśleniu o przyszłości nie można pominąć tego sąsiada Polski. Jaką natomiast kulturę my mamy świata do pokazania? Pierwsza rzecz, to nasz zaprawiony w trudnej, acz dobrej szkole katolicyzm, który w tej chwili zyskuje na świecie, bo świat idzie ku religii. Niemniej boję się, że nie jest to już ten sam katolicyzm, który uchował nas pięć, dziesięć lat temu. Stracił już pamięć o prześladowaniu i w efekcie traci stopniowo właściwości integracji duchowej. Rozpoczął się więc proces nowej laicyzacji społeczeństwa.

– Znana jest Pana diagnoza Kościoła katolickiego w Polsce. Od 1939 roku realizuje się według Pana model juliański, który w przeciwieństwie do konstantyńskiego „nie jest udziałem we władzy, aczkolwiek cechuje go żal i oburzenie po utracie, nigdy zaś dobrowolna rezygnacja w udziale w niej”. Jak jest dziś?

– Wołałbym mówić nie o Kościele, ale o typie religijności. Otóż, swego czasu było tak, że o kwestiach religijnych nie należało wypowiadać się krytycznie, ponieważ to zaraz nasuwało podejrzenie o kolaborację. Oczywiście, ideologii antyreligijnej i antykościelnej było mnóstwo, ale na ogół nikt nie traktował jej serio. Wiadomo było, że propagandą antykościelną zajmują się najemni agitatorzy. W szerokiej opinii społecznej Kościół był wówczas jakby pod ochroną. Dziś jest już inaczej, ale lekceważący ludzi świeckich proboszczowie nie zdają sobie sprawy, że tylko patrzeć, jak będziemy mieli w Polsce tak wspaniały ruch antyklerykalny, jak nigdzie na świecie. I że nie potrzebna jest do tego żadna akcja wrogich nam masonów, ale że stanie się to przez naszą własną duchową miałość. Druga sprawa – mieliśmy znakomitą ideologię narodową – solidarność, której eksponentem była „Solidarność” przez duże S. Niestety, przy pomocy kilku ambitnych panów ta pierwsza rozplynęła się, a druga straciła swą dawną moc.

Na swą zgubę „Solidarność” zaabsorbowała zbyt wiele też do tego stopnia sprzecznych, że w tej chwili nikt by już



nie potrafił powiedzieć, co stanowi jej ideologię. Zaprzepaściliśmy bezpowrotnie coś bardzo wartościowego.

– A konkretnie co?

– Chociażby ideologia umiarkowanej, ale autentycznej lewicowości. Zrodzonej z masowego protestu przeciwko komunizmowi. I tutaj muszę się zgodzić z tym, co powiedział Zdzisław Najder, że ideologia „Solidarności” nie mogłaby zaistnieć, gdyby na początku przyjąć tezę, że wszystko, co powiedzieli nam komuniści było nieprawdziwe. Komuniści byli przez „Solidarność” rozliczani głównie z tego, że nie zrealizowali swych obietnic.

– Można powiedzieć, że Pan jest jednym z współtwórców ideologii „Solidarności”. Pan, który napisał Rodowody niepokornych, Adam Michnik, który napisał Kościół. Lewicę. Dialog. Jacek Kuroń, który przelewał na papier swoje koncepcje. To wy wymyśliście tę szlachetną ideologię.

– Tak, a teraz młodzi ludzie chcą tutaj robić kapitalizm. A ja pytam, czy oni chcą mieć kapitalizm taki, jaki widziałem w Paragwaju, czy taki, jaki jest w Szwajcarii? Bo mi się wydaje, że Polska ze swoimi gigantycznymi kapitałami, ze swoją znakomitą umiejętnością pracy, ma małe szanse zostać Szwajcarią.

– Jednak wizerunek Polaka – nieroba jest już chyba nieaktualny. Obecnie mówi się raczej: Polacy – Żydzi Europy.

– Mówić można wiele rzeczy. Według mnie hasło wyborcze mojego przyjaciela Tadeusza Mazowieckiego o budowie Polski bezpiecznej i zamożnej, było dalece nieralne. Ze względu na położenie geopolityczne Polska nie może być bezpieczna, ale także nie wierzę w Polskę zamożną, nawet za życia mojego wnuka.

– Jak interpretuje Pan fakt, że to Panu właśnie przyznano nagrodę literacką imienia Jana Strzeleckiego, i to głównie za Rodowody niepokornych oraz, że stało się to pod egidą polskiego Pen – Clubu właśnie teraz?

– Jan Strzelecki, którego osobiście znałem i niezmiernie ceniłem, to przecież nie tylko ujmująca osobowość, ale także postać z owej tradycji szlacheckich lewicowców, czy szlacheckich socjalistów. Ta nagroda powstała po to by kierunek myślowy, który wyrażał swoją postawą Janek Strzelecki ocalić od zapomnienia, żeby podkreślić, że on istniał, a może do dziś istnieje. Interpretowałbym to też jako poczucie pewnego niepokoju socjalistów o los swego dorobku, o to, że mogą być w ogóle wyeliminowani ze stroniczo pisanej historii polskiej myśli społecznej. Socjalista ze mnie żaden, ale nazwałbym siebie bezpartyjnym sympatykiem umiarkowanego socjalizmu. Pisząc Rodowody niepokornych odnosiłem wrażenie, że piszę książkę historyczną, która dla mnie ma znaczenie aktualne, ale że to znaczenie aktualne nie zostanie odczytane. Okazało się, że przesłanie ideowe, którego ja sam nie byłem świadom, które bardziej czułem, niż rozumiałem, zostało przez mych czytelników tak mocno osadzone we współczesności. Atmosfera była taka, że się na coś takiego czekało.

– Czy teraz, kiedy idea „Solidarności” się zdewaluowała, ta nagroda nie stanowi czegoś w rodzaju epitafium dla odchodzącej formacji?

– Czyli odruchu kombatantckiego? Może. Natomiast myślę, że teraz dopiero to zaczynają się schody, bo z jakim zapleczem myślowym startujemy do tej niepodległości?

– Wraz z rządem Mazowieckiego odeszła elita, która w swej przewadze wpisywała się w tę piękną tradycję myśli lewicowej, o której mówiliśmy. Czy Pan również czuje się obrażony na naród – za to, że dokonał takiego wyboru?

– W każdym razie nie podzielałbym wyboru dokonanego przez większość społeczeństwa. Mam zresztą wielką pretensję do mojego kolegi z „Tygodnika Powszechnego” Krzysztofa Kozłowskiego, że jako minister spraw wewnętrznych nie poinformował społeczeństwa, kim jest elekt Stanisław Tymiński. Ale pomińmy ten wątek i całe nasze rozterki wyborcze. Idzie mi o coś innego. Poprzednia ekipa intelektualistów poszła robić politykę i straciła z oczu społeczeństwo. Bycie intelektualistą – to funkcja bardzo wdzięczna, trzeba jednak zrezygnować z udziału we władzy.

– Nie uczestniczył Pan w „okrągłym stole”.

– Nie mogę przesadzać i twierdzić, że wówczas stanąłem z boku ze względów moralnych. Po pierwsze miałem „podwójne myślenie”, po drugie – propozycji nie było. Byłem jak ta brzydka dziewczyna, która obroniła czystość.

– A gdyby teraz dostał Pan propozycję...?

– Teraz to ja już wiem, jak dobrze jest mieć młyn i własną drogę.

– Kim chce Pan być bardziej, intelektualistą, politykiem czy młynarzem?

– Młynarzem...

– Czy przypadkiem Pana decyzja nie jest podyktowana kryzysem wartości trapiącym od jakiegoś czasu życie publiczne?

– Byłem w kraju tak długo nieobecny, że wyskoczyłem z obiegu. Potem mogłem do niego wrócić, ale moja reakcja na koncepcję „okrągłego stołu” postawiła mnie zdecydowanie na marginesie. Ten margines się utrzymywał, a ja nie zrobiłem nic, żeby go zmniejszyć. Jednak nie można tu mówić o kryzysie wartości. Jest to raczej kryzys zaufania do pewnych dróg realizowania tych wartości. Poza tym, ja nigdy nie wstydziałem się swoich upodobań do „Żeromskich”. Natomiast swoje plany oświaty na wsi widzę optymistycznie. Zresztą już kilka razy udało mi się być „dziwakiem wiodącym”. Pierwszy raz właśnie wtedy, gdy pisałem Rodowody niepokornych, czym chciałem udowodnić, że Waryński był uczciwym i pięknym człowiekiem.

– Dziękując za rozmowę pragnę pogratulować Panu w imieniu redakcji znakomitego wyróżnienia.

rozmawiała Anna Bokiej

14 TYGODNIK  
LITERACKI



a w Polsce telewizja traci na każdej minucie emisji? Jak się to dzieje, że organizacja, która pobiera abonament porównywalny z abonamentami w innych krajach, ma monopol na emisję reklam, dostaje miliony dolarów w państwowych subsydiach, płaci swym pracownikom grosze, program zapewnia gadającymi głowami i od lat nie poczyniła żadnych znaczących inwestycji – jeszcze wykazuje kolosalny deficyt? Polak potrafi. Spiesz się dodać, że nie są to pytania dla nas laików, którym wydawać się może, że powodem jest brak konkurencji i wszystkie tego skutki. PRiTV powinna być wzięta pod ochronę konserwatorską i stać się przedmiotem poważnych badań naukowych. Tuziny doktoratów i habilitacji można by obronić próbując zgłębić paradoksy jej bizantyjskiej egzystencji.

chosłowacji gdzie sieć nadajników radzieckich pokrywała cały kraj, program moskiewski zastąpiono programami zachodnimi już w dwa miesiące po rewolucji. U nas, widzowie w Szczecinie i Warszawie ciągle mają możliwość śledzenia zniw w kolchozie imienia XXV Zjazdu lub obrad Rady Najwyższej Kazachstanu. Nie każdy wie, że program radziecki nadawany jest na polskich nadajnikach a koszty eksploatacji i emisji pokrywane są przez ministerstwo łączności z naszych podatków.

Zadeklarować tu muszę osobiste zainteresowanie sprawą, aby moje intencje były przejrzyste. Od lutego 1990 reprezentuję w Polsce firmę News Corporation należącą do Australo-Amerykańskiego potentata Ruperta Mordocha. News Corporation jest właścicielem londyńskiego Times'a, całej galaktyki gazet brukowych na trzech kontynentach, studiów 20th Century Fox, a także

rewolucji w Jugosławii, na 3 kanale nadal dowiedzieć się możemy o tym, że w kolchozie imienia XXV Zjazdu trwa wycięta praca w trudnym okresie pierestrojki.

Zainteresowanie News Corporation Polską powstało po spotkaniu w Londynie w 1989 roku między panem Murdochem a Lechem Wałęsą podczas którego Wałęsa powiedział Murdochowi „Przyjedź Pan do Polski i założ Pan stację telewizyjną”. Jeśli spotkają się obydwaj ponownie, Murdoch będzie wiedział co mu odpowiedzieć.

Tak więc kolejna zachodnia inwestycja w Polsce nie dojdzie zapewne do skutku. Jak w tak wielu innych wypadkach – żeby tylko wspomnieć Stocznnię Gdańską czy FSO – nie będzie to rezultatem ostrożności inwestora zachodniego, braku perspektyw na szybkie zyski, czy dużych przepięsów. Są pieniądze, jest gotowość na ryzyko, mamy cierpliwość do biurokracji. Brakuje jedynie woli politycznej ze strony rządu do porzucenia monopolu państwowego i biurokratycznej kontroli. Dla nowych władz, tak jak dla starych, telewizja jest ciągle strategicznym instrumentem sprawowania władzy, a nie przemysłem.

Niech mi wolno będzie zostawić testament. Jeśli widz polski ma mieć kiedyś taki wybór jak widz w Europie, a polska telewizja zamiast żyć na budżetowym garnuszku, zarabiać na siebie i eksportować swe programy, to:

1. Nie wierzyć ministerstwu łączności. To ono dało nam francuski system Secam gdy reszta świata wybierała Pal. Dzięki niemu polski zakres UKF jest węższy i nieprzystający do europejskiego. To ono teraz wybrało zakres dla komórkowej sieci telefonicznej, który uczyni nasze telefony niezdatne gdzie indziej. Nieprawdą jest też, że możliwy jest tylko jeden dodatkowy program ogólnopolski, jak twierdzi ministerstwo łączności. Eter jest w Polsce ani rzadszy ani gęstszy niż gdzie indziej i tak jak w innych krajach możemy mieć około dziesięciu kanałów telewizyjnych.

2. Nie ufajmy urzędnikom państwowym gdy ostrzegają nas przed zalewem naszego eteru „obcym chłamek”. Gdy państwowy Radiokomitet pokazuje brazylijskie tasiełce czy „Dyngusie” to jest to w porządku – gdyż za to dopłacamy z podatków. Stałoby się to „obcym chłamek” gdyby ktoś na tym zarobił. Nie godźmy się na zasadę, że biurokraci mają prawo kształtować nasze gusty.

3. Złudzeniem jest, próbowanie kontrolowania proporcji rodzimych i obcych programów. Jest to niemożliwe do skontrolowania. Stacja pragnąca wykonać normę produkcji rodzimej może zapłacić program po północy gadającymi głowami. Większość widzów i tak woli dobrą produkcję krajową niż zagraniczną i znajduje to odzwierciedlenie w oglądalności, dochodach z reklam i strukturze programu. Podkreślam dobra. A jeśli jest zła, to nie da się jej stworzyć administracyjnymi ograniczeniami. Po to, aby w Polsce powstał niezależny przemysł telewizyjny potrzebne są najpierw konkurujące ze sobą prywatne stacje – aby niezależni producenci mieli gdzie swe programy sprzedawać.

4. Zamiast martwić się na zapas i z góry nakładać na inwestorów prywatnych kaftan bezpieczeństwa, wpuśćmy ich na rynek i pozwólmy im się zaprezentować. Jesteśmy suwerennym krajem i przepisy zawsze możemy zmienić. Tym firmom – krajowym bądź zagranicznym – które nadużyją swych przywilejów, licencje będzie można odebrać jednym pociągnięciem pióra.

5. Przetargi na przydziały licencji i częstotliwości powinny być przejrzyste i odbywać się według z góry ustalonych, i niezmiennych reguł. Nie pozwólmy na powtórzenie zenujących dla kraju machlojek, takich jak przy przetargach likwidacyjnych RSW czy o telefony komórkowe.

**Radek Sikorski**

# Czekanie na telewizję

Nie o Radiokomitecie chcę jednak tutaj głównie mówić. Wystarczy jedna wizyta w cytadeli na Woronicza – baby w pomarańczowych perukach, strażnicy w ostatnim stadium śpiączki, prezydentki o cieleczkach oczach, nadęte sekretarki, prezesi przylepieni do rządowych telefonów – aby wiedzieć, że cały interes trzeba zapieczętować i zacząć od nowa. Polska telewizja jest nieuleczalnie chora i padłaby dawno gdyby państwowy dobroczyńca nie podtrzymał tego dinozaura przy życiu na drogim respiratorze.

Dzięki Bogu, przyszłość telewizji w Polsce nie leży na Woronicza. Telewizja państwowa staje się na świecie przeżytkiem, lub w najlepszym razie drogim luksusem. W Stanach Zjednoczonych wszystkie główne stacje są prywatne. W Anglii, prywatna ITV niczym nie ustępuje BBC a nic widzów nie kosztuje. Dwudziesty pierwszy wiek w telewizji – kabel i satelita – CNN i SKY, były kiedyś tylko pomysłami ich prywatnych właścicieli. Nie dajmy się zbalamucić rządowym urzędnikom argumentem, że tylko państwo i jego kontrola może zapewnić telewizji wysoki poziom. To państwo dało nam Radiokomitec i jego wycpociny a prywatne są setki programów, którymi Radiokomitec wypełnia lukę w swym programie. Prywatny jest słynny ze swego wysokiego poziomu brytyjski Channel 4. Nieprawdą jest, że prywatny kapitał zawsze i wszędzie nastawiony jest jedynie na maksymalizację zysku na krótką metę. Chęć zarobku nie jest niczym wstydlivym i nie wyklucza chęci tworzenia wartości kulturalnych. Michał Anioł zarobił na malowaniu Kaplicy Sykstyńskiej.

Państwowego monopolu telewizyjnego i tak na długą metę utrzymać się nie da. Dziesiątki tysięcy Polaków już wydało swój osobisty werdykt na polską telewizję kupując sobie odbiornik satelitarny lub przyłączając się do sieci kablowej. Z czasem będzie więcej satelitów, wynajem trasponderów na nich będzie coraz tańszy a polski konsument zamożniejszy – zacznie się opłacać nadawanie polskich programów z satelity. Prędzej czy później będziemy mieli pluralizm w eterze – na razie tylko dla bogatych.

Tymczasem zaś włączmy się w ogonie za Czechosłowacją i Węgrami w reformowaniu telewizji. Jesteśmy na przykład, jedynym krajem postkomunistycznym, którego do dziś – ponad rok po odzyskaniu niepodległości – ciągle nie stać na wyłączenie nadawania niezbyt popularnego programu regionalnego. W Cze-

głównym udziałowcem stacji telewizyjnej Fox w USA oraz telewizji SKY w Anglii.

Nadajnik na Pałacu Kultury emitujący program radziecki wpadł nam w oko. Pomysł był prosty. Zamiast retransmitowania z satelity programu moskiewskiego, mógłby on retransmitować nasz, jedyny w Europie, całodobowy serwis informacyjny Sky News, reszta godziny wypełniona byłaby popularnym programem Eurosport. W ciągu kilku tygodni od wejścia na antenę, Eurosport miałby polski komentarz a Sky News polskie napisy. W następnej kolejności – tak szybko jakby to było organizacyjnie możliwe – serwis światowy Sky News uzupełniony byłby serwisem polskim robionym na miejscu przez niezależnych producentów.

Przez jakiś czas, pomysł wydawał się do zrealizowania. Na retransmisję zachodniego programu jest precedens – Kraków ogląda Rai Uno. Parafowaliśmy umowę z Poczta – właścicielem nadajnika – na wynajem urządzenia. Byli zachwyceni tym, że wreszcie ktoś będzie płacił rynkową cenę za emisję. Również Ministerstwo Edukacji było przychylnie. Nareszcie każdy Warszawianin miał mieć okazję oglądania normalnego angielskiego programu. Efekt dla nauki angielskiego byłby natychmiastowy i lepszy niż efekt milionów dolarów wydanych z budżetu na nauczycieli, pomoce naukowe. Prawnie istniał jeszcze monopol państwowy na nadawanie ale de facto rząd pozwalał monopol omijać tam, gdzie było mu to na rękę. Mimo, że prawo się nie zmieniło, Radio Zet i Radio Solidarność do dzisiaj nadają, zyskując coraz większą ilość słuchaczy, nic sobie z żadnego monopolu nie robiąc. Spokojni też byliśmy o kadre dla produkcji programów polskich. Wbrew pozorom, w Polsce nie brak młodych kamerzystów, reporterów i reżyserów – wielu z doświadczeniem pracy dla stacji zachodnich – którzy aż palą się aby produkować programy na zamówienie. Trzeba tylko zapłacić odpowiednie rynkowe stawki. Moja firma nie tylko nie pobierałaby za swój program żadnych opłat, lecz jeszcze płaciła opłaty licencyjne i podatki.

Niestety, Rząd Tadeusza Mazowieckiego, ustami pani Niezabitowskiej, zakomunikował nam, że władze polskie nie chcą drażnić Rosjan wyłączeniem ich programu. W nowym rządzie to samo: pierwotny entuzjazm a teraz cisza i nieodpowiadanie na telefony. Zamiast transmisji na żywo z Zatoki Perskiej czy

# Moje wesołe dni w piekle

Kiedy podszedł, nagle zauważył salamandrę. Stał jak wryty, bezpośrednio pod skałą w kształcie biurka, w odległości około dwóch metrów od nas. Stał tak, że widzieliśmy go, z profilu, uśmiechał się szczęśliwie. Jeszcze nigdy nie widział salamandry. Patrzał na nią z zadowoleniem i ciekawością. Pod wpływem tego nieoczekiwanego biegu wypadków i my pozostaliśmy na kłęczkach. Byliśmy zmęczeni i widzieliśmy, że Wipla się gapił na salamandrę i wówczas możemy spokojnie dalej kłęczyć na śniegu, albo też przestanie się interesować jaszczurką. A wówczas i tak wszystko jedno.

Sierżant wciąż jeszcze przypatrywał się salamandrze. Z zachwytem, z otwartymi, drżącymi ustami. Nawet jego sztywna postawa zmieniła się: pochylił się do przodu, szyję wciągnął między ramiona, schylił głowę. Na jego nienagannie skrojonym płaszczu, na wysokości łopatk, pojawiły się trzy duże fałdy. Wipla był teraz po prostu uosobieniem ciekawości. Pochylał się nad jaszczurką, jak naukowiec nad mikroskopem. Zapoznawanie się z cudami tego świata – pomyślałem – to dobry znak.

Nagle sierżant podniósł czekan i nie zmieniając szczęśliwego, uśmiechniętego wyrazu twarzy, szybkim ruchem z przegubu, obciął jaszczurce przednią prawą łapę. W miejscu przecięcia pojawiło się szkarłatne półkole, po chwili zaś eliptyczna kropla krwi, która zaczęła tańczyć, jak bańka mydlana. Z czasem wyglądało to tak, jakby ktoś wycisnął z tubki trochę czerwonej farby; jaszczurka obróciła głowę w prawo, pochyliła ją i z ciekawością i zaskoczeniem patrzyła na miejsce po swojej łapie.

Ramię Egriego drgnęło. Jak mam go powstrzymać? Jeśli miałby ochotę rzucić się na oprawcę, to próżno byłoby ich rozdzielać. Egri był silniejszy ode mnie, nie mógłbym go powstrzymać.

— Nie umieraj za salamandrę — szeptałem tak cicho, że przypuszczalnie nie słyszał. Ale może to i lepiej; ostatecznie obaj byliśmy zgodni co do tego, że można umrzeć nawet za salamandrę. Co więcej, zranienie salamandry odczułem boleśniej, niż śmierć Szuhy. Przypuszczałem, że Egri czuł podobnie. Resztę sił włożyłem w ruch warg, w ich sugestywność, żeby zrozumiał: nie chcę, by atakował. Egri spojrział na mnie chłodno, a następnie przysiadł z powrotem na piętach.

Klawisz jeszcze przez kilka chwil gapił się na krwawiące zwierzę, a potem znów uniósł czekan. Tym razem uderzył nie z przegubu, lecz z łokcia i jednym wprawnym ruchem obciął jaszczurce lewą przednią łapę. Odcięta noga wielkim hukiem spadła z niebieskiej skały andezytowej. Zrobiła małeńki otwór w śniegu tuż przed nami. Jaszczurka opadła głową na skałę. Zrezygnowała z bezsensownej walki.

W chwili, kiedy salamandra osunęła się nieżywa na skałę, Wipla wyprostował się; znikły trzy fałdy na jego płaszczu. Obrócił się ku nam i obrzucił nas roztargnionym spojrzeniem. Żaden z nas nie drgnął. Nasze kurczowo ściśnięte kolana jak trafione złożyły głęboko wryły się w miękką glinę. Zdążyłem wstać, jak na mnie wrześnie, pomyślałem. Potem może już mnie bić po twarzy albo nawet kopniakiem zepchnąć z nasypu. Może złamię rękę albo nogę i przez sześć tygodni będę mógł leżeć w szpitalu. Perspektywa ta ucieszyła mnie tak bardzo, że zapomniałem o wszystkim, beznamiętnie gapiełem się przed siebie na śnieg, który otulał mi kolana niczym delikatną, koronkową kryza.

Wipla nie powiedział ani słowa. Ruszył w kierunku skał, tam, gdzie w niebieskawym cieniu nieco wyżej leżał śnieg i pozostawał twardszy, niż ten na słońcu. Wipla stanął w rozkroku i rękami zaczął zgarniać śnieg ku czubkom swoich butów. Z zebranego śniegu zrobił dużą, ładną kulę śniegową. Kiedy był już gotów, podniósł na wysokość twarzy tę niemal idealną kulę i zachwycił się nią. Długo celował i z przerażeniem na twarzy rzucił śnieżkę w moim kierunku. Uśmiechnął się szczęśliwie, kiedy się przekonał, że trafia dokładnie tak, jak przewidział. Ledwo musnęła mi ramię i poleciała dalej w kierunku przepaści.

Wciąż jeszcze kłęczeliśmy, kiedy sierżant ruszył wzdłuż skalnej ściany. Zrobił wokół nas półkole o promieniu bez mała dwudziestu metrów. Z powrotem siedł z drugiej strony na samej krawędzi przepaści, szybko, lekkim krokiem po nierównym gruncie. Panorama — pasma górskie północnych Węgier — rysowała się wyraźnie w powietrzu, bezpośrednio za pasem Wiply, tam, gdzie zwisła kabura pistoletu. Wydawało się, że kabura prześlizguje się po szczytach i zboczach masywu Gömör-Szepes; z kabury, spod obfitej pokrywy łyskała kolba pistoletu, mieniąc się znużonym kolorem stali. Wipla siedł tak na krawędzi przepaści, ukazując nam swój profil. Za rysunkiem jego twarzy nie było już góry; tłem służył tu zrezygnowany, drgający błękit zimowego nieba. Wipla podniósł do góry ostrą, różowy nos. Usta i teraz trzymał otwarte. Wydawało się, że był postacią alegoryczną, która zjada niebo i to nie tylko symbolicznie zjada i połyka, połyka i zjada. Przez chwilę pomiędzy zębami koloru platyny błysnął mu biały stożek Wysokich Tatr, jakby lody waniliowe w foremce, poślknął i to. Spieszył do swojej budki strażnika, żeby upiec sobie słoniny na drugie śniadanie.

**György Faludy**  
przełożył Szczepan Woronowicz

TYGODNIK  
LITERACKI 15



# przeгляд zagraniczny

Publikujemy fragmenty obszernego wywiadu z Bohumilem Hrabalem, który w latach 1984-1986 przeprowadził węgierski publicysta Szigetfi. Tytuł pochodzi od tłumacza.

**Szigetfi:** *Vladimír z Czulego barbarzyńcy lubi peryferie, lubi chaos, który ma jakąś wewnętrzną konstrukcję lub system. Dlaczego? Ponieważ uświadamia sobie, że jest narzędziem, czy też dlatego tylko, że w nim żyje? A we wstępie napomknął Pan, że w pewnym sensie także lubi chaos. Pańskie teksty w pierwotnej wersji zawsze przypominają rozkopaną ulicę.*

**Hrabal:** Ponieważ jestem nim otoczony. Wie pan, że żyję w mieście, a dokładniej na jego peryferiach. Żyję wśród takich ludzi, którzy gdy cokolwiek wezmą do ręki, natychmiast to odrzucają, którzy lubią pewien rodzaj nieporządku, chociaż właściwie nawet go nie zauważają. Tak samo jest na wsi. I ja jestem takim samym człowiekiem. Nie przepadam za czystością i porządkiem, a więc jestem facetem, który na swój sposób jest trochę – a może nawet bardzo – bałaganiarzem. I jeżeli żyję tu w towarzystwie tych Słowian, którzy mają wielkie cięgoty do bałaganu, to dzieje się tak dlatego, że z nimi czuję się

– *A Węgrzy?*

– Węgrzy też nie, taka już ich natura. Ale gdy wjeżdża się z Moraw na Słowację, wtedy człowiek ma wrażenie, że znalazł się w Austrii. Domy są tam jakieś ładniejsze, i to upodobanie do kwiatów i warzyw. W moim przekonaniu Słowacy mają znacznie większą klasę niż my. Już choćby dlatego, że niedziela jest dla nich dniem świętym. Ubierają się wtedy elegancko i idą do kościoła. Tak jest w każdej wiosce. A prażanie? W Pradze do kościoła chodzą cudzoziemcy. Prażanie wskakują w piątek do samochodów i miasto się wyludnia. Prawie pół miliona ludzi jedzie do swoich dach i wiejskich chatup, a tam, o dziwo, mają porządek. W Pradze, w swoich mieszkaniach, też mają porządek, ale na ulicach, w fabrykach jest bałagan. Myślę więc, że jestem dzieckiem epoki, że należę do nich, że się z nimi identyfikuję. Nigdy nie zdecyduję się na emigrację, ponieważ za bardzo utożsamiam się ze środowiskiem, w którym żyję, z tymi knajpami, do których chadzam, a które zawsze są tak okropne. Mnie to jednak wcale nie przeszkadza...

– *Czy to nasze (i Pańskie) bałaganiarstwo, bałaganiarstwo naszych narodów, nie może być wyrazem egoistycznego pragnienia wolności, jak Pan sądzi?*

## Jestem dzieckiem epoki...

jak u siebie w domu, po prostu mi to nie przeszkadza. Wprawdzie dawniej miałem określone moralistyczne zapędy, więc niby powinienem być inny, ale kiedyś stwierdziłem, że moje pisanie wygląda tak samo jak wszystko, co mnie otacza. Po prostu nie jest to oczyszczone, są tylko struktury i ludzie nawet nie zauważają tych niedoróbek. Dlatego też mój styl – kładę to na karb tego środowiska – jest pełen błędów, co jednak podobno sprawia, że ma on swoisty wdzięk. Moja redaktorka, gdy przygotowaliśmy wydanie *Skarbów świata całego*, powiedziała mi, że z redakcji językowej dali jej dokładny wykaz błędów gramatycznych w tym tekście, a było ich ponoć kilkaset. Ale ona przekazała im, żeby poprawili z grubsza pięćdziesiąt, a resztę żeby zostawili, bo te językowe aberracje i odstępstwa trzeba tolerować, ponieważ one stanowią o wdzięku stylu Hrabala. Jeżeli zostałyby poprawione, książka straciłaby swój urok. Powiedziała jeszcze, że to jest tak, jakby ktoś chciał poprawiać rysunki, powiedzmy Picassa. Więc gdyby zacząć tam coś wygumowywać, wtedy zawaliłaby się cała konstrukcja tego, co oddziałuje – wyrażając się po aryścielesowsku – estetycznie. Czyli ja jestem otoczony przez nieporządek, ale przysięgam, nie przeszkadza mi to, bo sam taki jestem. Gdyby pan do mnie przyszedł i zobaczył gdzie i jak mieszkam... Wszystko mam na stole, całą moją pisaninę, lekarstwa, ciuchy, nawet pantofle. A ja tylko czasem przecieram ten stół, żeby tak tylko wyglądało, że robię porządek, ale osobiście nie zależy mi na jego utrzymaniu. Mam w sobie coś, co mają też Francuzi. Gdyby pan widział, jak w Paryżu strąsają na prawo i lewo popiół z papierosów, a ile tam się wala petów. Więc nie dziwnego, że kiedy podczas okupacji musiałem wykazać się aryjskimi przodkami, okazało się, że mój pradziadek był francuskim żołnierzem, który walczył w bitwie pod Austerlitz. Został tam ranny, morawskie dziewczyny ściągnęły go z pobojowiska i zaopiekowały się nim, tylko że zanim zdążył się wykurować, wojska Napoleona były już daleko, więc już został na Morawach.

– *Jak się nazywał?*

– Kilian, Francuz. Bitwa pod Austerlitz, rok 1806.

– *Po kądzieli jest Pan jednak Czechem?*

– Chyba tak, ale prędzej Morawianinem. Tylko gdyby mi się pan dokładnie przyjrzał...

– *Mongol albo Tatar...*

– Ano właśnie. Zawsze powtarzam: jedna moja gałąź jest mieszkanką tatarsko-awarsko-węgierską, a druga ma korzenie francuskie. I kiedy spotykamy się w rodzinnym gronie – a rodzina jest liczna – natychmiast rozpoznajemy się po wydatnych kościach policzkowych. Czyli moje upodobanie do bałaganu wynika z faktu, że z pochodzenia jestem Francuzem. I podczas każdego pobytu w Paryżu dochodzę do wniosku, że takiego bajzlu jak tam jeszcze nie widziałem. Tak, tyle że w ciągu nocy to wszystko zostaje posprzątane. Ale ja żyję w Pradze, na peryferiach, i po prostu stwierdzam, że tutaj jest tak samo i że mój naszpikowany błędami styl jest identyczny jak to milieu, w którym żyję. Jestem dzieckiem swojej epoki.

– *A w ciągu nocy nie zostaje tutaj posprzątane?*

– Nie, kiedy patrzę na place koło naszych fabryk, na hale produkcyjne, widzę, że jest tam dokładnie tak jak i u mnie. Ale mi to nie przeszkadza. Tylko że gdy wybieram się za granicę, powiedzmy do NRD, widzę, że Niemcy są porządniejsi, mają posprzątane te swoje fabryczne place.

– Nie. Powiedziałbym raczej, że w naszym wypadku jest to jakaś forma protestu. U nas większość ludzi uważa, że nie nadaje się do tego, czym się akurat zajmuję. Większość jest przekonana, że powinna być kimś innym, ale kim, tego już nie wie. (...) Kiedy człowiek usiadzie w knajpie, wtedy prawie zawsze usłyszy od bufetowej, że właściwie miała być kimś innym, ale tak się złożyło, że rozlewa piwo. A ona z uporem twierdzi, że chciała być lekarką... Ano właśnie! U nas każdy uważa, że powinien studiować, u nas każdy chciałby zostać inżynierem albo doktorem. Każdy chciałby dostać się na studia i kiedy to mówi, daje do zrozumienia, że w domu ma porządek. Ale kiedy tylko wyjdzie na zewnątrz, odrzuca wszystko, a jak przyjdzie do roboty, to tam chodzi w kombinie nie tak długo, aż ten z niego spadnie. Wie pan, ja już długo żyję na tym świecie i pamiętam, że kiedy mieszkałem w Nymburku, to jak robotnicy szli w poniedziałek do pracy, każdy niósł wyprany, czystość kombinezon, bo inaczej wstyd by mu było. A jak zbliżał się fajerant przed sobotą, wtedy wszystko trzeba było uporządkować i pozamiatać. Kiedy mieszkałem w Żidonicach, tam zamiatało się nawet ulice, każdy to robił własną miotłą przed swoim domem.

– *Czyli dzieje się tak za sprawą tych naszych nowych czasów?*

– Tak, nowe czasy... I ci ludzie... Diabli wiedzą, do tego trzeba psychoanalizy. Bo dlaczego jest tak, jak jest, to wiemy, ot, choćby z tych przerażających migawek w telewizji, na przykład jak ludzie potrafią zaświnić prześliczne kiedyś strumienie. Ale pozostaje tajemnicą, dlaczego robią to teraz, a nie robili wcześniej. I tej zagadki nie rozwiąże socjolog, tylko psychoanalityk, i nie jest to kwestia jednostek, tylko całych grup. Dlaczego w pracy ludzie mają czasem tak straszny bajzel, a już po wyjściu stamtąd sami wyglądają schludnie? Czy to wyraz protestu czy zubożnienia? Sam nie wiem. (...) Żyjemy w epoce półproduktów. Kupujemy taki półprodukt, a później

## Dni Brechta w Berlinie

Organizowane corocznie w Berlinie z okazji urodzin Bertolta Brechta (10.02.1898) kilkudniowe sympozjum odbyło się w tym roku według zupełnie nowej formuły. Zdecydowały o tym nie tylko względy finansowe (dotacje zredukowano z 60 do 16 tys. marek), lecz także polityczne; zniknięcie NRD zmusza bowiem do innego spojrzenia na swoisty kult, jakim otaczano osobę pisarza i jego twórczość. Zmiany zaznaczyły się przede wszystkim – jak pisze Sibylle Wirsing w 39 numerze *Frankfurter Allgemeine Zeitung* z 15.02.1991 – w programie imprezy: tradycyjne sympozjum zastąpiono trzema praktycznymi kursami teatralnymi i podsumowującym forum z wykładami i dyskusjami. Zamierzona otwartość Dni Brechta to eksperyment, który się nie powiodł. Widoczny był brak koncepcji, a zastąpić ją miał dość mgliście sformułowany temat: „Jednostka i władza, władza jednostki”. Głos zabierali na przemian specjaliści, sekciarze, idealisci, nie brakowało też zupełnych ignorantów. Porównując to z zamkniętymi dyskusjami ekspertów w poprzednich latach trudno było nie zauważyć, jak bardzo obniżył się poziom.

w domu musimy go sobie doprawić. Odnoszę wrażenie, że dzięki swojemu bałaganiarstwu i pośpiechowi piszę półprodukt, a moi czytelnicy to wszystko muszą sobie dopiero skonstruować, czyli jakby doprawić we własnych głowach. W moim wieku, a zacząłem już ósmy krzyżyk, uważam siebie za dziecko epoki i środowiska, w którym żyję. Tamten dawny browar to była liryka, wszystko było wtedy piękne, przyroda, no, wszystko. Mieliliśmy tam nawet dwóch murarzy do różnych prac remontowych, więc w browarze zawsze panował porządek. Tylko że ja przeprowadziłem się do Libni i teraz żyję na peryferiach, a swoje najważniejsze teksty napisałem właśnie tutaj, chociaż piszę także w Kersku. W tym browarze dużo się zmieniło od tamtych czasów, ja zresztą też jestem inny niż dawniej.

– *Z Pańskich, to znaczy czeskich, a właściwie praskich pisarzy stworzył Pan jakby kwintet: Deml, Hašek, Klima, Weiner i Kafka. Z każdym się Pan jakoś utożsamiał, wydaje mi się jednak, że w najmniejszym stopniu z Kafką. Nie dlatego, że jedyne z nich nie pisał po czesku, tylko dlatego, że Pan jest typem antykafkowskim. Obaj prezentujecie odmienne rodzaje realizmu. Realizm Kafki jest bardziej magiczny, obce mu raczej były ironia i groteska. Podczas lektury Lekcji tańca dla starszych i zaawansowanych odniosłem nawet wrażenie, że pisze Pan także po to, by uzmysłowić czytelnikom, że Pańska proza jest antykafkowska. Chyba właśnie dlatego tak często napomyka Pan o Kafce?*

– Wspominam o nim już choćby dlatego, że on był doktorem prawa i ja jestem panem doktorem prawa. Literatura była dla niego nie tylko lekarstwem, lecz także sposobem samorealizacji. Ma pan jednak rację, jeśli chodzi o ten antykafkowski kontekst, bo to jest kwestia milieu. Wiadomo, że Hašek i Kafka urodzili się w tym samym roku, niemal całe życie spędzili w tym samym mieście, a mimo to nie mogli się spotkać, ponieważ każdy miał odmienne milieu. Kafka, będąc Żydem, zawsze chadzał do kawiarni, a przez most Karola chodził z Maxem Brodem, zawsze pograżeni w metafizycznych dyskusjach, a jeśli nawet zdarzały się im dyskusje realistyczne, to i tak sprowadzały się – jak to u Żydów bywa – do zgłębiania metafizycznych znaczeń, symboli czy podtekstów. Hašek natomiast chadzał „dolną”, do knajp. Nie mogli się więc spotkać, a poza tym sposób narracji Kafki i jego bohaterowie różnią się kompletnie od Haszkowskich, mimo że ci dwaj żyli w tym samym mieście. Ja żyję wyłącznie w knajpach. Jeżeli wejdę do kawiarni czy restauracji, robię tak zawsze przez pomyłkę. Nawet jak jestem w kiepskiej formie, znajdzie mnie pan na tych peryferiach. Przesiaduję w „Harfie”, w „Bratysławie” – to jest taka robotnicza knajpa naprzeciwko „Harfy”, wpadam tam czasem na obiad. Wie pan, kawał życia spędziłem w browarze, gdzie byłem blisko z robotnikami. Tutaj, w Libni, są właśnie te knajpy, w których czułem się szczęśliwy. Właśnie w nich z Egonem Bondym, z Vladimírem i z innymi prowadziliśmy dysputy... Oczywiście o sztuce, ale i o futbolu. Czasem po prostu zartowaliśmy sobie albo opowiadali zabawną historię, ale kiedyś byli sami, wtedy zawsze rozmawialiśmy o istocie surrealizmu, o Dostojewskim, o istocie egzystencjalizmu. Omawialiśmy problemy, którymi żył świat, a które dotyczyły literatury, filozofii i polityki. I te dysputy wiedliśmy właśnie „na nizinie”. O Kafce też. No, Kafka z czasem stał się tak głośny, że powstało nawet określenie „kafkarna”. Prażanie używają go w odniesieniu do jakiejś głupoty, czegoś zwariowanego i bezsensownego. Przed drugą wojną mało kto słyszał o Kafce, a dziś Kafka to bestseller. Myślę, że jeśli ktoś dawniej przeczytał *Proces* czy *Zamek*, musiał się przy tym strasznie namęczyć, żeby rozgryźć te wszystkie symbole. Dopiero wkroczenie niemieckiej armii, zagłada Żydów, obozy koncentracyjne – to sprawiło, że nagle ten symboliczny i transcendentny *Zamek* czy *Proces* stały się po prostu reportażami. A może wizjami?

Praga – Budapeszt

przełożył Jan Stachowski

Jest to wybór z fragmentów rozmowy opublikowanej w almanachu *Čtení na leto*, wydawanym przez dwumiesięcznik „Listy”, Rzym, czerwiec 1988; cała zaś rozmowa-rzeka ukazała się jako osobny tom pt. *Klíčky na kapesniku*, Praga 1990.

Próby odejścia od obowiązujących stereotypów i metod badawczych, od ideologii i dogmatyzmu, które przez dziesięciolecia kształtowały wizerunek Brechta również w zachodniej części Niemiec, podejmowane są jak na razie poza Berlinem. W Augsburgu teatrolog Hans-Thies Lehmann zakładając istnienie „innego Brechta” przygotowuje sesję na ten temat.

Berlińskie Dni Brechta nie dały również odpowiedzi na pytanie o spuściznę pisarza. Tworzące Centrum Bertolta Brechta teatr nad Szprewą, willa, a także placówka badawcza i archiwum są dziś miejscami mało uczęszczanymi. Nowa dyrekcja kładzie to na karb trudności finansowych, jednak prawdziwych przyczyn należy szukać w utracie prestiżu Centrum i konflikcie z teatrem Berliner Ensemble – założonym przez Brechta, a od niedawna będącym już własnością prywatną, który demonstracyjnie zbojkotował Dni Brechta. Brak też jednoznacznego stanowiska władz Berlina wobec kosztownej byleży wizytówki wschodnioberlińskiego życia kulturalnego. Królestwo Brechta może stać się wkrótce miejscem sporów. Na razie jednak ciche porozumienia i subwencje chronią cmentarną ciszę.

Oprac. Marek Jakubów



# Powroty

W końcu lat siedemdziesiątych moja pensja w instytucyjnej bibliotece wynosiła 2.700 zł. Pozwoliło mi to jesienią kupić w domu towarowym na tyłach dworca PKS Marymont znakomitą fufajkę za 1.700 zł., idealnie nadającą się do noszenia przez całą zimę. W ten sposób, nic o tym nie wiedząc, wyprzedziłem światową modę i nadchodzące wydarzenia.

Kilka lat później, jesiennym popołudniem, chłodnym i mglistym, gdy powietrze wypełniała nieokreślona nadzieja, w teje fufajce zmierzam w stronę Teatru Wielkiego. To było wydarzenie dnia: spektakl: *Aktorzy scen warszawskich - „Solidarność”*. Oczywiście nie miałem żadnego zaproszenia ani biletu, entuzjazm pozwalający znieść przeciagi wiążące ulicami miasta kazał mi wierzyć, że jakoś wejdę.

Pod pachą ścisnąłem książkę, która była moim niedawnym odkryciem: *Spiewy proletariatu polskiego*.

Prócz zwykłych pracowników teatru wejścia do środka pilnował pan w nieokreślonym wieku, z białą-czerwoną opaską na rękawie fufajki. Nadłamy nos, szramy na policzkach, głos zachrypnięty i głęboki świadczyły o życiu pełnym przygód.

Wśród tłoczących się przy wejściu byłem jedynym w fufajce. To, plus kilka słów w języku robotniczym (Proletariusze ..., itd.), sprawiło, że pan z białą-czerwoną opaską - którego władza była większa od władzy biletów - wyróżnił mnie i przeciągnął przez tłum w wejściu.

Podczas przerwy zobaczyłem nowego znajomego wśród najbliższego otoczenia pana Lecha Wałęsy. Zaczętem mu dawać znaki ręką i wkrótce mój dobroczyńca, opuściwszy swych towarzyszy, odszedł ze mną w spokojniejszy kąt korytarza. Wyjąłem książkę z za pazuchy, odszukałem tekst *Międzynarodówki* i zacząłem czytać, prosząc by chwilę uważnie posłuchał.

...Rządzący światem samowładnie  
Królowie kopała, fabryk, hut  
tym mocni są, że każdy kradnie  
bogactwa, które stwarza lud.  
W tej bandy kasie ogniotrwałej  
stopiony w złoto krwawy pot  
spoczywa, aż kiedyś wróci do nas cały  
jak należności słusznej zwrot...

Staliśmy sami na końcu korytarza, mój nowy znajomy popatrzył na mnie podejrzliwie (jak na agitatora? prokuratora?) i usłyszałem głęboki, zachrypnięty głos:

- O k..., i cenzura to puściła?

Odszukałem w książce tekst starej ulotki SDKPiL...  
...„Naprzód, śmiało, w Imię Boże, obalmy to nędzne państwo”...

Odkroczył ode mnie jak oparzony.

- Ty, coś za jeden? - wydawało mi się, że miałby ochotę uderzyć.

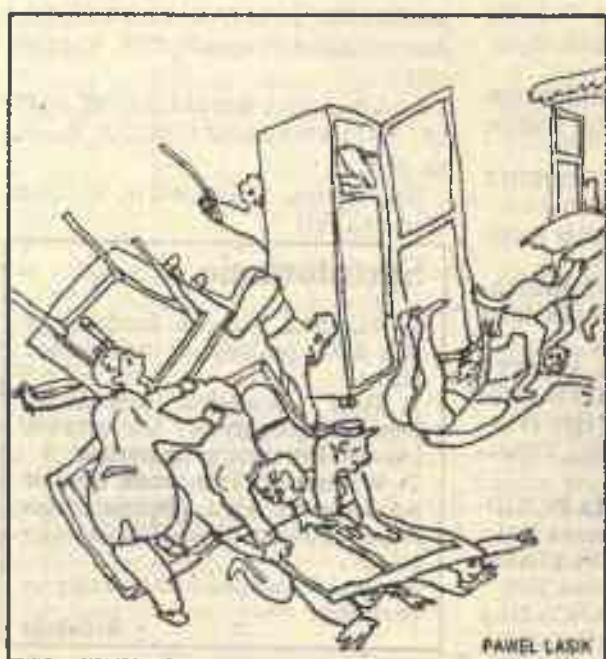
Pokazałem mu okładkę książki - patrzył z niedowierzaniem - wytłumaczyłem, że książkę można kupić w każdej księgarni, że nie lubię długów i chcę mu z niej zrobić prezent - za to, że wszedłem bez biletu.

Patrzył trochę podejrzliwie, po chwili wziął książkę ostrożnie, zaczął ją przeglądać. Dzwonek obwieszczający koniec przerwy skierował nas na salę. Trochę nieśmiało uściśnął mi rękę i wrócił z powrotem do najbliższego otoczenia pana Lecha Wałęsy.

Usiadłem w najbliższym wolnym fotelu i w gasnącym powoli świetle pomyślałem, że oto niezbadanym wyrokiem Opatrzności (której poczucie humoru wydaje się być najmniej docenianym przymiotem) SŁOWO (SŁOWO - ROZKAZ - jak pisał Wyspiański) wróciło do swego prawdziwego adresata. Zatoczyło pełen okrąg, pełne 360 stopni, po drodze przeżyło trochę dziwnych przygód i teraz, nieco sfatygowane i sprostytuowane, wracało do prawowitego właściciela.

A ja byłem przez chwilę posłańcem.

Paweł Zawadzki



Ogólnie wiadomo, o co tutaj chodzi: sceneria wielkiego miasta, tłum, pojedynczy człowiek, a za nim w pewnej odległości drugi, wciąż za nim.

Powieści szpiegowskie, detektywistyczne, wybitne dzieła prozatorskie, pamiętniki, filmy, akta sądowe oferują różne warianty tej sceny, od wyrafinowanych podpatrywań do brawurowych pogoni. Za wspólną ich cechą można by uznać element gry, a nawet zabawy. Tymczasem głębsza analiza przekonuje, że na akcie śledzenia wyciska swe piętno nieklamana groza. Wszak coś nas powstrzymuje przed pójściem za wybraną na ulicy osobą, również w wypadku, gdy nie są brane w rachubę trudności techniczne.

W języku polskim na określenie osoby śledzącej używa się następujących słów: szpicel, agent, szpieg, filer, tropiciel, obserwator. Żadne z nich nie oddaje istoty rzeczy.

W gestii szpiega leży oczywiście śledzenie, lecz stanowi ono jeden z licznych aspektów jego działalności. Słowo tropiciel zawodzi kompletnie, gdyż kieruje uwagę na dochodzenie do danej osoby po śladach, które ta zostawia. Szpicel z kolei to po prostu policyjna kreatura, pacholek wywiadu; z wyraźnym zabarwieniem pejoratywnym łączy się tu jeszcze całkowity brak dynamiki ciała - szpicelować to raczej podglądać, wyniuchiwać, mniej zaś podążać za. Najlepszy byłby filer, lecz z uwagi na obce pochodzenie tego słowa jego semantyczna struk-

dzień cynika

## Akt śledzenia

tura nie jest przejrzysta i trudno w nim dostrzec subtelną nić powiązania między osobą śledzoną a śledzącą.

Zawsze w takich wypadkach należy przyjąć, że czego nie ma w języku, nie ma w świecie rzeczywistym. Wymienione słowa wskazują wyłącznie na wąską grupę policyjnych agentów, którzy chwytnością prywatności na gorąco zajmują się w ramach swych zawodowych, często uciążliwych obowiązków. Nic nie mówią natomiast o ponadprofesjonalnej uniwersalności aktu śledzenia, nie ustępującego pod tym względem staniu na wprost.

Spojeniem i tkanką aktu stania na wprost było od wieków słowo, jego możliwość lub ekwiwalent. Ekwiwalentu słowa należy szukać w każdym materialnym czy też dźwiękowym znaku, możliwości zaś słowa żywego - w milczeniu lub słowie pozbawionym brzmienia: wśród różnorodnych odmian tego aktu znajduje się również korespondencja.

Akt stania naprzeciw ulegał zresztą w ciągu wieków głębokim przemianom, które nie dotyczyły jednak jego archetypowej istoty. Tak więc miał on miejsce w coraz to innej akustycznej przestrzeni, inne rodzaje mowy były weń zaangażowane, coraz bardziej niepoślednią rolę spełniało w nim ciało, a wraz z ciałem inne systemy znaków wspomagające podmiotową mowę - aż osiągnął pełnię aktu w kameralnej akustycznej przestrzeni mieszczącego wnętrza.

W sumie można powiedzieć, że akt stania naprzeciw (akt *par excellence* krytyczny) wymaga dla siebie różnorodnych środków mediacji, a przez to odbywa się w szeroko pojętej kulturze. Gdzie zachodzi mediacja, tam margines nieprzewidywalności jest stosunkowo wąski.

Akt śledzenia oscyluje ku niewiadomemu i nieprzewidywalnemu, odbywa się poza kulturą, w czystej czasoprzestrzeni. Czysta czasoprzestrzeń niezmiennie napawa niesamowitym lękiem.

Najprościej oczywiście byłoby widzieć osobowość krytyczną w akcie stania na wprost, zaś osobowość czynną w akcie śledzenia. Zdarzają się przecież sytuacje mieszane, już to będące próbą zdominowania aktu stania na wprost przez cynizm, już to będące uwikłaniem osobowości krytycznej w akt śledzenia (akt *par excellence* cyniczny).

Jak stanowiło akt śledzenia jeszcze w dziewiętnastym stuleciu odrzucała świadomość, niech świadczy przykład Jana Nepomucena Umińskiego, naczelnika Towarzystwa Kosynierów, który na konspiracyjną schadzki stawiał się siedząc „na dzielnym białym koniu, i okazałym, jaskrawym strojem, karmazynową furazerką czworograniastą krakowską, z upodobaniem zwracał na siebie uwagę licznej publiczności, podążającej na Bielany o późnej już godzinie pięknego majowego poranka” (Sz. Askenazy „Lukasieński”) - co świadczyło, że świadomie

czy nieświadomie oczekiwał oglądu, nie śledzenia. W rezultacie pchnęło go to ku ryzykownej próbie dopasowania konspiracyjnej schadzki do archetypu zbliżania się ku sobie.

Wiek spisków i tajnych towarzystw był równocześnie wiekiem, w którym jedyne w swoim rodzaju mieszkalne wnętrza wraz z zawartym w nim aktem stania na wprost stało się paradygmatem związków interakcyjnych. Wprawdzie moc kryptofoniczną mieszkalnego wnętrza od początku osłabiali podpatrywanie i podsłuchiwanie, lecz były to w sumie niegroźne szkodniki, znane już Tacytowi: „Przeto trzej senatorowie ukrywają się między dachem a pułapem, w skrytce tak samo haniebnej jak obrzydła była ich zdrada, i nadstawiają ucha przez otwory i szczeliny.”

Dlatego kiedy Szaniawski, konspirator współczesny Umińskiemu, pisał swym zawodowo-konspiracyjnym stylem o sposobach werbunku, brał w rachubę wyłącznie rutynowe podsłuchiwanie: „Upatrujący wybrany szuka osobę podobnie myślącą, dowiaduje się o jej stosunkach i wpływie w jakimś punkcie geograficznym kraju, i nim się z nią połączy, poznaje ją dobrze, wyprowadza ją w miejsce samotne, na pole, strzegąc wszelkich rozmów w domach, ogrodach i lasach jak najpilniej”.

Świadomość przez długi czas wzdragała się zmierzyć z wyuzdaną doskonałością metod śledzenia opracowanych w biurach Fouché, Nowosilcowa i ich godnych następców. Dzisiaj dyskretne ludzkie oko i ucho zostaje zastąpione przez inwigilację za pomocą najnowszych środków elektronicznych. Świetnie wyposażony tropiciel rozporządza całym arsenałem miniaturowych urządzeń, począwszy od aparatów podsłuchowych, a skończywszy na kamerach i aparatach fotograficznych.

W związku z tym na szczególną uwagę zasługuje fakt, że jakkolwiek można wiedzieć lub podejrzewać, że jest się śledzonym, nie można wiedzieć, że nie jest się śledzonym. Osoba śledzona co najwyżej wierzy, że nie jest śledzona, lub nie wie, że jest śledzona: nie dopuszcza do świadomości ani możliwości, ani faktyczności tego, że jej życie prywatne może być (jest) systematycznie penetrowane.

Jaka jest różnica pomiędzy osobą śledzoną posiadającą pewność, że ktoś za nią chodzi jak cień, a kimś o wybujałej wobraźni lub ulegającym zwidom symptomatycznym dla psychicznej choroby? Pierwsza i druga osoba są w równej mierze przekonane o swym uwięzieniu w akcie śledzenia. Przydałby się tu zatem trzeci obserwator, który z kolei byłby śledził i ofiary, i szpicłów (lub urojone ofiary i urojonych szpicłów), po czym orzekł, jak w obu wypadkach rzecz się przedstawia faktycznie.

Co może mi dać absolutną gwarancję tego, że jestem lub nie jestem śledzony? Czy inaczej: co może mi dać absolutną gwarancję realności stworzonych przeze mnie prawd? Tak pyta osobowość krytyczna, dla której *a priori* jest akt stania na wprost. Kiedy *a priori* jest akt śledzenia, jak w przypadku cynika, wtedy tak sformułowane pytanie o prawdę nie ma racji bytu. Wszak szpieg na przykład od początku przygotowany jest na ewentualność śledzenia i tak też postępuje - jakby był śledzony. U szpiega stan podejrzania jest czymś permanentnym.

Współobejmowaniu się spojrzeniem, jaki zawiera się w akcie stania naprzeciw, odpowiada w akcie śledzenia jednostronne dosięganie. Każda zmiana współobejmowania na jednostronne dosięganie i *vice versa* łączy się z pełną wstrząsów przebudową nastawienia i intencji. Wzajemny stosunek obu aktów jest nad wyraz widoczny, nie wymaga dodatkowych analiz: akt śledzenia przyczynia się do destrukcji aktu stania na wprost, by rozwinąć się w pełni na jego gruzach. A zatem śledzenie zabija ekspresję. Im więcej śledzenia, tym mniej wyrażania.

Wszystko składa człowiekowi dowody najdalej posuniętego *desintéressement*: świat zwierząt, rzeczy, roślin, kosmos, środowisko ludzkie. Toteż podejrzanie, że jest się śledzonym, należy do najbardziej wstrząsających przeżyć. Świadczą o tym pewne formy urojeń schizofrenicznych. Chory nie traktuje oczu, które go śledzą, jako oczu pojedynczego człowieka. Czuje on raczej, że jest pod obserwacją jakiejś szerszej widowni. Urojony prześladowca, który za nim chodzi, nie robi tego w swoim imieniu i na swój własny rachunek. Schizofrenik jest pewien, że ma do czynienia z wysłannikiem tajnej organizacji, kliki, sekty, agentury. Z kolei wszystko wzbrania mu interpretować spojrzenie, które go dosięga, jako wyraz zainteresowania. Raczej za spojrzeniem tym kryje się jakiś plan, jakaś groźba. Okazuje się, że obojętność świata nie była jeszcze czymś najgorszym. Oto w rzeczy samej nie jest on już obojętny, lecz skrycie groźny, nienawistnie uważny.

Rzeczywiste doświadczenia ludzi osaczonych przez akt śledzenia niewiele się zresztą różnią od ujęć klinicznych. To nie bowiem akt stania na wprost wraz z swym spoiwem, jakim jest wyraz niepełny, spycha i unicestwia akt śledzenia. Odwrotnie - semantycznie ubogi akt śledzenia dezintegruje osobowość krytyczną i niszczy jej wyraz niepełny.

Janusz Węgielek



Pismo trujące (wedle Rafała Grubińskiego), ale, moim zdaniem, trujące nad wyraz ciekawie. Zwraca uwagę szkic Anny Nasiłowskiej pt. „Muza współczesna” przedstawiający losy postaci Muzy we współczesnej poezji polskiej, w wierszach Grochowiaka, Harasymowicza, Gałczyńskiego, Przybosa, Iwaszkiewicza, Jastruna, Hurysmowicza, Gałczyńskiego, Przybosa, Iwaszkiewicza, Jastruna, Wierzyńskiego i Miłosza. Zastanawia brak nazwisk Symborskiej, Poświatowskiej i Lipskiej. Czyżby wyjaśnienie kryło się w tym oto zdaniu?: „U Wierzyńskiego i u Jastruna erotyczny charakter kontaktu z muzą jest bardzo wyraźny, podobnie zresztą u Iwaszkiewicza”. Czyżby autorka poddała się duchowi czasu i tolerując intymne, choć z pewnością pozamałżeńskie, kontakty mistrzów pióra z dawczynią natchnień, nie tolerowała takich, lecz o nacechowaniu homoseksualnym, kontaktów między muzą a naszymi wybitnymi poetkami? Ale najbardziej zaskakuje zakończenie tekstu Nasiłowskiej, który świadczy być może o nadciągającej zmianie w konwencjach literackich bliskich „Zeszytom”. „Muza jest toposem, figurą sacrum, nie jest jednak żywym symbolem tej sfery. To dobrze: można posługiwać się nią dowolnie, rozpoznać ją w prywatnym doświadczeniu – bez obaw, że narusza się wyznaniowy kanon. Jest jednak coś komplikującego jej istnienie – kanon kulturowy, przynależność do sfery „wysokiej”, tradycji i konwencji. „Łam konwencje!” – musi żądać od poety Muza współczesna sama udowadniając, że do konwencji należy tylko przez przypadek, że jest w niej coś innego jeszcze, ba, potrafi być nawet wyjątkowo źle wychowana. Może być kobietą, której się pożąda luk suką – która na dodatek doskonale rozumie groteskę. W różowym szalicku”.

Natomiast nie czyni nadziei na zmianę konwencji „Zeszytów Literackich” Stanisław Barańczak w swej recenzji z powieści Danity Kusa. Znakomity praktyk i teoretyk literatury jeszcze raz udowadnia, że nieskładność współczesnego świata i współczesnego pisarstwa nie jest w stanie oprzeć się jego słownej imaginacji, woli konstrukcji tekstu i skłonności ku symetrii. „Okno i lustro” trzeba po prostu przeczytać, a ja mogę tylko wyrazić podziw i przerażenie, wobec tego, co potrafi wymyślić i skojarzyć Barańczak. Jego fenomen jeśli nie wkroczył, to wkracza w regiony ponad – normalności.

Poza tym w „Zeszytach Literackich” van Gogh, Hofmanstahl, Miłosz, Herbert. I inni.

### Arka 31 (1)/1991

Wydaje się, iż „Arka” (podobnie jak „Res Publica”) jest nie tylko zanurzona w rzeczywistości odtrutką po „Zeszytach Literackich” dla nadmiernie zwróconych do świata słów, ale że umiejętnie godzi dwa sposoby reagowania na historyczną doniosłość doby współczesnej.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

Henryk Elzenberg, Z FILOZOFII KULTURY. [Pisma, tom 1]. Wybór a opracowanie i wprowadzenie Michał Woronicki, Znak, Kraków 1991

PSYCHOLOGIA WIERZEŃ RELIGIJNYCH. Wybrał i wstępem opatrzył Kazimierz Jankowski, Czytelnik, Warszawa 1990

Helena Eilstein, JEŚLI SIĘ NIE WIERZY W BOGA... CZYTAJĄC KOŁAKOWSKIEGO, Biblioteka „ALETHEIA”, Warszawa 1991

Marcin Kula, NARODOWE I REWOLUCYJNE, Aneks – Biblioteka „Więzi”, Londyn-Warszawa 1991

Jerzy Eisler, MARZEC 1968. GENEZA, PRZEBIEG, KONSEKWENCJE. Biblioteka „Krytyki”, Warszawa 1991

Wiktor Trościanko, NARESZNIE LATA POKOJU. Wydawnictwo Delikon i Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1991

# CZASO-PISMA

Z jednej strony nie boi się prób rozpoznania i opisu współczesności w kategoriach intelektualnych – bez obrażania się na „skrzeczącą rzeczywistość”, z drugiej zaś – bez uciekania w wyniosłość kulturową – serwuje swoim czytelnikom dobrą literaturę i eseistykę (inna sprawa, że podobnie jak „Zeszyty Literackie” korzysta z niespożytej pracowitości Barańczaka).

W bloku tekstów pod wspólnym nagłówkiem „Komunizm w Azji” – dwie znakomite pozycje. W artykule „Po drugiej stronie chińskiego muru” Michał Korzec opisuje dzieje stosunków sowiecko – chińskich między marcem 1948 a październikiem 1950 roku. Zawarte w nim informacje pochodzą od tłumacza – dyplomaty chińskiego, uczestnika rozmów między Stalinem i Mao. Niezwykle wciągające do studium stawania się polityki, przyczynę do obrazu Stalina jako człowieka, który nadawał kształt światu w połowie XX wieku.

Drugi z tekstów w tym bloku to fragment pracy Artura Dmochowskiego relacjonującej historię wojny wietnamskiej. Jest to wspaniała lektura pozwalająca zrozumieć wiele aspektów światowych wydarzeń z lat sześćdziesiątych i pierwszej połowy siedemdziesiątych. Klarowny język, obiektywnie przytaczane fakty tworzą panoramę zmagani zbrojnych, które choć nie zamieniły się w konflikt globalny, to nazwały swoim piętnem świadomość mieszkańców naszej planety nie mniej niż II wojna światowa. Nota pod artykułem zapowiada, że całość książki ukaże się niebawem nakładem krakowskiego KAWU. Z pewnością warto będzie przeczytać ją w całości.

Ozdobą literackiej części tego numeru „Arki” są wiersze Charlesa Simcia w przekładzie Stanisława Barańczaka i wiersz Tadeusza Różewicza kreślący sylwetkę zmarłego niedawno Kornela Filipowicza, a w wierszu tym taki oto passus:

„(...) myślę że wiersze (z tamtego świata) nie mówią (o ojczyźnie) matce ojcu braciach (milczą o Oświęcimiu) milczą o Katyniu (są jak drzewa) z węgla kamiennego (w moich oczach) okrywają się zielonym liściem (szumią) na tym padole łez (pisuje) czasem poezje (zostawiam w nich język)razem z wnętrznościami (...)”.

### „Pamiętnik Teatralny” 2-4/150-152/1989

Warto chyba odnotować interesujący fenomen życia kulturalnego lat ostatnich – oto najciekawszymi i najinteligentniejszymi książkami krytycznymi, eseistycznymi i historyczno-literackimi są te, które wyszły spod piór teatrologów lub teatru dotyczyły. „Lakierowanie kartofla”, „Sława i infamia”, „Rzeczy teatralne”, „Wtajemniczeni w los”, „Kultura polska po Jalcie”, „Teatr zdradzonego przy-

mierz” (wreszcie „Dialog” i „Pamiętnik teatralny”) to książki (i periodyki), które dały najciekawszy obraz współczesności artystycznej – intelektualnej i jej historycznych uwarunkowań. Nazwiska Korzeniewskiego, Raszewskiego, Pużyny czy Dziewulskiej (by wspomnieć te tylko, które pierwsze pamięć przywołuje) niewątpliwie znaczą niewspółmiernie więcej niż ich teraźniejsza (słaba) sława.

Dla potwierdzenia powołać się można na monograficzny numer „Pamiętnika teatralnego”, który w całości poświęcony został pamięci Wilama Horzycy (1889-1959) w setną rocznicę jego urodzin. Numer to niezwykle interesujący i – pominiwszy ponad roczne opóźnienie w dacie jego publikacji – niczego nie można mu już zarzucić.

Dwie zwłaszcza pozycje „Pamiętnika...” skupiają na sobie uwagę czytelnika.

Pierwsza – to zestawiona przez Lidę Kuchtową „Kronika życia i działalności” Wilama Horzycy. Znajdujemy w tej kronice nie tylko wyczerpujący faktograficzny zapis losów wybitnego człowieka teatru (Skamandryty, współpracownika Schillera, współtwórcy koncepcji teatru monumentalnego) lecz także ponadjednostkowy, chociaż naznaczony piętnem wyrazistej osobowości, życiorys polskiego intelektualisty, któremu pisane było urodzić się i spędzić lata młodości w austro-węgierskiej monarchii, zaś schyłek życia przepędzić w cieniu powojennej stalinowskiej potęgi.

Druga – to rozmowa o przedśmiertnej dyrekcji Horzycy w Teatrze Narodowym przeprowadzona przez Wojciecha Dudzika (pomyśłodawcę tego numeru „Pamiętnika...”) z Konstantym Pużyną. Piękna to rozmowa i przejmujący w niej, już zza grobu dochodzący, głos Pużyny o człowieku, który wprowadził go w krąg spraw teatralnych. Przy tym głos fachowy i krytyczny, nawet z analizy porażek swego preceptora umiejący wyłowić fragmenty kształcące.

### Literatura 1/100/1991

Miesięcznik „Literatura” obchodzi mały jubileusz – wydania setnego numeru pisma. Gdyby tak policzyć dokładniej byłoby ich pewnie więcej, boć przecież żył – był niegdyś tygodnik o tej samej nazwie i o wspólnym (Putrament) naczelnym, ale małoż to pismo miało takie same nazwy?

Obecnie redaktorzy „Literatury” mają o sobie wcale niezłe niemiemanie, a miesięcznik rozdaje własne nagrody. Nie ma na to co prawda pieniędzy (por. „Objaśnienie” Krzysztofa Mętraka do tegorocznych nagród: „Przyznajmy, że z coraz większym trudem przychodzi nam podtrzymywanie dobrej tradycji, ale znalazły się w końcu środki na skromne nagrody, choć zmuszeni byliśmy ograniczyć ich ilość...”), w związku z czym przyznaje się

mało, ale za to najwybitniejszym. W roku 1990 najwybitniejsi okazali się Karasek i Kapuściński. Mniejsza o to, książki ich poprawne, sprzeciwić się nie będą. Może tylko zasugeruje, by dawać nagrody honorowe, za to wszystkim, którzy (zdaniem jury) na to zasłużyli.

Pragnę natomiast zatrzymać się przez chwilę nad krótkimi fragmentami cytowanego już „Objaśnienia” oraz nad fragmentami felietonu tegoż Autora pt. „Buzi-buzi, bum-bum”. Pisze Mętrak: „my w redakcji sądzimy, że nagrody «Literatury» dobrze wpisały się w pejzaż naszego powszedniego życia literackiego” oraz wyraża nadzieję, że „nasze tegoroczne nagrody zostaną zaakceptowane przez całe środowisko pisarskie. Któremu przecież służymy na co dzień, nie tylko od święta”. Otóż osobiście mam wątpliwość czy nagrody „Literatury” i szerzej: sama „Literatura”, „dobrze się wpisała” – chociaż widać, że bardzo ma na to ochotę. Pismo to miało, oparte na przedrukach (ostatnio „KOR” J. J. Lipskiego), hybrydyczne (do niedawna publikacja brukowych, pseudopornograficznych biografii gwiazd muzyki rockowej), nieciekawe. Typowe pismo ludzi, którzy sądzą, że literatura to zakład pracy, w którym ktoś musi pracować, dostawać premie i „powszednio żyć literacko”. Nie podzielam tego poglądu, a w moim przekonaniu ugruntowuję się, gdy kilka stron dalej czytam, że literatura emigracyjna wchodząc tak szeroką falą na półki księgarskie szkodzi sama sobie i że „nic bardziej niemądrego niż przypisywanie wszystkich literackich autów autorom z jednej politycznej strony”. To, co Mętrak pisze, jest wedle mnie świadectwem fałszywej troski. Cóż to, a więc zdrowiej byłoby tak: jeden Herling na rok, pół Jeleńskiego na dwa lata? I czy dlatego są oni wydawani, że nie należeli do PZPR? A o jakich to „zawalonych (po 13 XII 1981) kryteriach i obiektywnych hierarchiach” pisze za stepca redaktora naczelnego „Literatury” (których „nikomu nie przychodzi na myśl odbudowywać”)? Przecież właśnie ich nie było, bo istniała literatura krajowa, emigracyjna i drugoobiegowa. A wszystko to pisze Mętrak podpierając się autorytetem Tomasza Burka. Nieladnie! Oczywiście nie każdy, kto drukował w podziemiu jest wybitny czy choćby poprawny! Ale też decyzje o druku poza cenzurą w kraju bądź z granicą nie były posunięciami grafomanów wyczuwających możliwość łatwego powielania swojej twórczości!

I na koniec: trzeba myśleć, co się pisze, bo potem chwila nieuwagi i z pióra spływa: „Nic nie można poradzić na to, że (...) Artur Sandauer (był) lepszym krytykiem niż Jerzy Kwiatkowski”. Poradzić, owszem, można. Trzeba poczytać Kwiatkowskiego a potem Sandauera. Albo na odwrót. Podejrzewam, że jasno się wówczas ukaże różnica klas (na korzyść Jerzego Kwiatkowskiego) co się tyczy wrażliwości na poezję i umiejętności pisania o niej. I polityczne zmanierowania Sandauera nie tu do rzeczy nie mają.

em-be

Warszawa 1991

Gustaw Herling-Grudziński, ŻYWI I UMARLI SZKICE LITERACKIE. Wydawnictwo FIS, Lublin (bdw)

Gustaw Herling-Grudziński, DZIENNIK PISANY NOCĄ, 1980-1983, Res Publica, Warszawa 1991

Gustaw Herling-Grudziński, GODZINA CIENI. ESEJE. Znak, Kraków 1990

Milan Kundera, ŻART. Przełożyła Emilia Witwicka, PIW, Warszawa 1991

Józef Łobodowski, WIERSZE I POEMATY. Wybór, wstęp i nota edytorska Irena Szypowska, PIW, Warszawa 1991

Andrzej Stanisław Kowalczyk, KRZYŚ ŚWIADOMOŚCI EUROPEJSKIEJ W ESEISTYCE POLSKIEJ LAT 1945-1977 (VIN-CENZ-STEMPOWSKI-MIŁOSZ), Warszawa 1991

Stefania Kossowska, GALERIA PRZODKÓW. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1991

Aleksander Hertz, WYZNANIA STAREGO CZŁOWIEKA. PIW, Warszawa 1991

Bohumil Hrabal, LEKCJE TAŃCA DLA STARSZYCH I ZAAWANSOWANYCH.

POSTRZYŻYNY. TAKA PIĘKNA ZAŁOBA. SKARBY ŚWIATA CAŁEGO. Przetłóżył Andrzej Czycibor-Piotrowski, PIW, Warszawa 1991

Jacek Bocheński, BOSKI JULIUSZ. ZAPISKI ANTYKWARIUSZA, NOWA, Warszawa 1991

Józef Wittlin, MÓJ LWÓW. Czytelnik, Warszawa 1991

### Sprostowanie

W wierszach Marcina Senddeckiego (TL 5/91) znalazły się następujące błędy:

1) Tytuł „Bezczelnie beczelny, beczeszcząc czysty” jest cytatem i winien być ujęty w cudzysłów.

2) W wierszu „Tym razem obędzie się bez ofiar” jest „Będzie światło(...)”, powinno być „Będzie święto(...)”.

Autora i Czytelników serdecznie przepraszamy.

Redakcja



Literatura i kobiety domagają się mocnych wrażeń. Dostarczyć je mogą nie tylko Forsyth, Ludlum i McLean. Gazety codzienne opublikowały kilka tygodni temu dane dotyczące stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Informacje te stały się powodem złośliwych komentarzy prasy albańskiej. Z ujawnionych danych wynika, iż nie wiadomo dokładnie ilu i jak uzbrojonych żołnierzy radzieckich jest w Polsce. Określenie, iż Rosjanie posiadają nad Wisłą „jakieś rakiety” trudno uznać za precyzyjne nawet w kontekście teorii czystej formy Ignacego Witkiewicza. Cieszy informacja, iż nieco więcej wiemy na temat własnego uzbrojenia.

O kontrwywiadzie, służbie zwyczajowo powołanej do zbierania tajnych informacji, zwykło się mówić, że to najstarszy zawód świata. Według Encyclopaedia Britannica starszy nawet niż gancarstwo, rybołówstwo i sprzedaż uliczna. Freski naskalne w Puszczy Kampinoskiej i w najwyższych partiach Himalajów świadczą jednoznacznie, iż już człowiek pierwotny znał pojęcie kontrwywiadu.

Obok rytów zwierząt dżganych dżdą myśliwego napotykały tam malowidła uszu, postawionych żołnierzy i podsłuchów telefonicznych.

Po aferze związanej z brakiem danych, na łamach mongolskiego „Tygodnika Literackiego” postawiono publicznie pytanie czy aby Urząd Ochrony Państwa nie cierpi na reumatyzm i braki kadrowe. Reumatyzm, podobnie jak skleroza, jest chorobą bogów (Neron, Bismarck, Machejek, Zeus, Krzywousty, Hen-

*gabinet cieni*

# Inne kino

drix, Nienacki, Stalin, Mniskówna), a braki kadrowe podobnie jak braki w uzębieniu można uzupełnić czego dowodem jest nie tylko general Franco i Julio Iglesias.

Wielość mitów związanych z początkiem człowieka jest niczym wobec mitów związanych z Urzędem Ochrony Państwa. Potwierdza ten fakt dokumentalny film Tomasza Wiszniewskiego pt. „Do broni” wyemitowany niedawno przez telewizję w ramach ambitnego cyklu „Inne kino”.

Film opowiada o sposobach ucieczki przed zaszczepną służbą wojskową. Jednym z bohaterów filmu Wiszniewskiego jest Piotr Niemczyk, czołowy komandos pacyfistycznego WiPu, organizacji która wstrząsnęła Układem Warszawskim jak zgnilą marchewką.

W trakcie filmu Piotr Niemczyk z błyskiem w oku wygłasza anarchistyczne frazesy o wol-

ności, walce z armią i państwem jako środkiem przymusu.

Niemczyk to postać o rozmiarach Gogolowskiego „Rewizora” – typowy przykład schizofrenii ery wczesnego kapitalizmu. Niewątpliwym hitem „Konfrontacji” przebijającym „Dzikie serca” Lynch, byłby film o dalszej karierze Niemczyka.

Niemczyk, autor licznych artykułów wyśmiewających wojsko i służby specjalne, rozsianych wśród podziemnych i naziemnych wydawnictw pacyfistycznej Europy, zostaje początkowo szefem oddziału „Gazety Wyborczej” w Szczecinie, a następnie z pięścią na ustach awansuje na oficera kontrwywiadu.

Początki alchemii i historia wierzeń religijnych znają nie takie przypadki wulkanizacji własnych poglądów. Tym niemniej istnieje niebezpieczeństwo, iż za sprawą telewizji UOP ulegnie demoralizacji. Agenci carskiej „Ochrany” kierowali wszak akcjami terrorystycznymi eserowców i stawali na czele strajków jednak żaden z nich nie doczekał występu w filmie Wiszniewskiego. Niemczyk doczekał.

Mając na uwadze to przykre doświadczenie odbierające busołą ideową szeregowym tajnikom należy być szczęśliwym jeżeli UOP w najbliższej pięciolatce złapie choć jednego szpiega (zakładając, że nie może nim być ani Brzeziński ani Najder).

**Krzysztof Skiba**

Referat programowy wygłoszony na sesji filmoznawczej pt. „Od epoki kamiennej do misterium kleuzyńskich”

# ŚMIGŁO-NEWS

Mariusz Szewczyński pierwszym więźniem sumienia w III Rzeczypospolitej??? Mariusz podlegający WKU we Wrocławiu nie uzyskał zgody na zmianę służby wojskowej na zastępczą (2 odrzucone odwołania). Wobec konsekwentnej postawy Mariusza (odmówił odbycia regularnej służby) wytoczono mu proces. Skazany został na rok więzienia. 27 III Naczelny Sąd Wojskowy w Warszawie rozpatrzył sprawę Szewczyńskiego w ostatniej instancji. Ponieważ w samym Wrocławiu zanotowano ostatnio 40 takich przypadków, będzie to wyrok precedensowy.

● Na zjeździe obdźektorów w Poznaniu 16 III uchwalono sporządzenie raportu zawierającego przypadki naruszania przez WKU wolności sumienia poborowych. Raport ten otrzyma m.in. Amnesty International. Opis udokumentowanych przypadków (zwłaszcza z kompletnie nierozpoznanych, małych ośrodków) proszę przysłać pod adres Jarosław Urbaniński, ul. Szamotulska 19A Poznań.

● W Warszawie w SOSie szczęśliwie potoczyła się II krajowa Giełda Czadawa. Przybyło około 120 osób z całej Polski. Sprzedawano i wymieniano płyty krajowe i zagraniczne oraz liczne publikacje w języku polskim. Następnie giełdowy „twardy rdzeń” zaproszony został przez Zbigniewa Materę (ex Trybuna Brudu, obecnie QQRQ – współorganizator giełdy) na imienniny gdzie pito piwo, fabrycznie zmieszane z whiskym. A właściwy finał giełdy miał miejsce na Ursynowie w niedzielny ranek. III Krajowa Giełda Czadawa odbędzie się 13 IV w Warszawie. Dokładne miejsce (SOS lub „Hybrydy”) podam we właściwym czasie.

● 15 i 16 III w Łodzi odbyło się zapowiadane w ŚN Ogólnopolskie Forum Sztuki Video. Wśród filmów przedstawionych w Domu Kultury Prexer znalazły się dwie prace Wspólnoty Leeceć: „Bielmo polskiej awangardy video” (w roli białego Andrzeja Miastkowskiego) oraz „Taniec z szablami ról rał” (tym razem Andrzej Miastkowski wcielił się (?) w Bezkras a Paweł Palester we Wszechrzecz). I na koniec przykra sprawa. W szeregi Wspólnoty Leeceć zakradł się prowokator. Doszło do przecieków. W artykule (Na Przelaj nr 10) nieujawniony osobnik ujawnił sekrety Wspólnoty. Wspólnota Leeceć zamierza artykuł przeczytać i zareagować.

● W Poznaniu miesiąc temu zaczęło nadawc Radio Solidarność (emisja w godz. 7-17), którego to Radia ciekawą częścią jest Młodzieżowe Radio Lawina. Lawina rusza codziennie od 14:05 do 14:45. W dni powszednie jest to blok muzyczny (poniedziałek-punk, wtorek-reggae, środa-metal, czwartek-klasyka, piątek-awangarda; didżejami są poznańscy muzycy). W niedzielę Lawina osuwa się na słuchacza od 9:05 do 11:55. Oprócz muzyki wypełniającej znaczną część programu natrafiamy na Magazyn Robią to ryby (Historia Strawy Vegetariańskiej, Odwieczna Wojna Płci oraz tzw. „chore teksty”), a także Magazyn Literacki (do tej pory: opowiadania feministyczne, poezja indiańska, wiersze w klimacie *brulionu*, a na 24 III redagująca magazyn Kalina Olejniczak zapowiada wiosenną Poezję Wagancką). Całość wieńczy Polish Indie Top.

● Tymczasem inkryminowany Totart z uporem uniesmiertelnia swe poczynania. Paweł Konik Konnak, reprezentujący odłam sekсистowski Totartu, przemierza naszą udreconą ojczyznę występując z pokazami video progresywnych grup muzycznych (następny pokaz połowa kwietnia Leszno). Frakcja półgłówków zajęła się publikacją dotychczasowych dokonań członków Totartu. Wydawnictwo „Księgozbiór Zlew Polski” wydało cztery komixy Paulusa I) („Twins I” i „II”), „Stefan O. Zygryda Sz.” oraz „Bolid z Kosmesu” (przez „e”). Księgozbiór Zlew Polski wespół z zasłużonym Wydawnictwem „Kubańskie Cycki” uformowało Trust Wydawnictw Pojedynczych. Nakładem Trustu ukażą się *Rysunki Knajpiane* grupy plastycznej *Yo als jertz*.

● Ruch Społeczeństwa Alternatywnego w Gdańsku wszedł w stadium kryzysu metafizycznego. Objawy: Jany porzucił ideę rewolucji i zaczął przeprowadzać badania wśród kolegów z Ruchu, stosując test Junga. Powstać ma z tego praca analizująca psychę anarchistów. Jany ujawnił ciekawą zbieżność: wśród badanych występuje silna potrzeba dominacji. Drugim przejawem wspomnianego kryzysu jest nieoczekiwany wyjazd Hrynia do Chin po kadzidelka.

● 15 III odbył się koncert „Gdynia 91”. W gdyńskim klubie kolejarza wystąpiły zespoły: *Apteka, Golden Life, Garden Party, Call System, Hektor, Canada*.

*Bóg zapłać  
Maciek Chmiel*

# listy

## Do redakcji

### „Polityki”

Szanowny Panie,

Ciekawe, kto tak bardzo wstydzi się swego nazwiska, że kryje się pod inicjałami K. Sz., którymi sygnowana jest notatka w „Polityce” z 19 stycznia 1991 pt. „Nasz Człowiek w Afganistanie”, atak na moją książkę *Prochy Świętych – Podróż do Heratu w Czas Wojny*, której fragmenty zamieścił „Tygodnik Powszechny”. Pan K. Sz. zaczyna od stwierdzenia, że książka zawiera „apoteozę bohaterkiej postawy autora”. To, czy się chwalebę, czy nie, zostawiam do rozstrzygnięcia czytelnikom, tutaj pragnę tylko zauważyć odwagę cywilną pana K. Sz. Pogadajmy więc jak bohater z bohaterem.

Pominę ewidentne niedorzeczności. Pan K. Sz. twierdzi na przykład, że mudżahedini „myją się rzadko”, co jest bzdurą dla każdego, kto ze słyszenia choćby zna kulturę islamu. Trzy abluacje dziennie są przepisane przez Koran, a tradycja nakazuje pięć.

Dowiaduję się też, że „niedoścignionym wzorem” był dla mnie „niejaki Lech Zondek, który wybrał się do Afganistanu z misją militarno-religijno-patriotyczną – zabijając Rosjan w zemście za śmierć

księdza Popieluszki”. W przeciwieństwie do nieznównoważonego Sikorskiego, godnym uwagi jest przytomny Tadeusz Zychlewicz, który zauważa, że Zondek nie zginął bynajmniej w walce z czerwonymi lecz spadając ze skały. Pan K. Sz. pomija fakt, że to ja relacjonuję losy Zondka i ubolewam nad jego porywczością i niefortunnym końcem. Mimo jego odwagi i patriotyzmu, nie był dla mnie wzorem.

Nie wiem, czy za dobrą monetę mogę przyjąć fakt, że pana K. Sz. z „Polityki” moja „niezwykła krucjata (...) z kałaznikowem na ramieniu, kamerą pod pachą i obrazkiem Matki Boskiej w reporterskim notesie” budzi „podziw i zdumienie”. Nie wiem, czy wypada cieszyć się podziwem facetów z „Polityki”. Zastanawia mnie tylko jedna linijka na samym końcu notki pana K. Sz. Moja „krucjata”, spekuluje on, przyniosła mi „głęboką satysfakcję duchową”. Pan K. Sz. odgaduje prawidłowo. Tu przechodzimy do sedna sprawy.

Komunistyczny przewrót wojskowy w 1978, interwencja sowiecka, i wojna domowa, która nadal trwa (podsycana sowieckimi dostawami broni i amunicji dla reżimu komunistycznego) były dla Afgańczyków kataklizmem porównywalnym z drugą wojną światową w Polsce. Zginęło w nim około dziesięć procent ludności kraju (około 1,2 miliona ludzi na 12 milionów), a jedna trzecia do dziś przebywa w obozach dla uchodźców w Pakistanie i Iranie. Sowietci nigdy nie uznali partyzantki za stronę walczącą, nie stosowali zasad konwencji genewskiej, a w więzieniach afgańskich zamęczono dziesiątki tysięcy ludzi, których komuniści przesłuchiwali i torturowali pod nad-

zorem doradców sowieckich. Połowa wioszek afgańskich leży w gruzach. Całe prowincje są wyludnione. Jest to rezultat taktyki spalonej ziemi, której celem było spustoszenie kraju i tym samym osłabienie poparcia dla ruchu oporu. Sam widziałem naloty lotnictwa sowieckiego na bezbronne wioski afgańskie. W czasie jednego z nich, niedaleko Heratu, 13 sierpnia 1987, zginęło na moich oczach 70 osób, prawie wyłącznie kobiety i dzieci.

Tak, panie K. Sz., mam więc satysfakcję duchową i czyste sumienie, że w ludobójczej wojnie (określenie Amnesty International), stanąłem po stronie ofiar a nie najeźdźców. Powiem Panu więcej. Pan i pańscy koledzy z „Polityki” też moglibyście mieć czyste sumienie, gdybyście – zamiast kłamstw i propagandy – pisali prawdę o wyczynach waszych ideologicznych pobratymców. W Afganistanie, tak jak w Polsce, popieraliście okupantów, zdradców i oportunistów. Pana notatka świadczy o tym że do dzisiaj niczego się nie nauczyliście. Szujami byliście i szujami jesteście. Mam nadzieję, że spokoju sumienia nie zaznacie.

Z poważaniem

**Radek Sikorski**

Zrezygnowałem z wysłania powyższych uwag do redakcji „Polityki” ponieważ w 1988 roku pomimo zapewnień redaktora Bijaka pismo to nie opublikowało mojego poprzedniego listu w sprawie Afganistanu. Mam ponadto dowody, iż „Polityka” rutynowo cenzuruje również inne polemiki z paszkwilantami drukowanymi na swych łamach.

Ze względu na dobitność sformułowań, zamieszczony wyżej list nie mógł ukazać się w krakowskim „Tygodniku Powszechnym”.

R.S.

# TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

REDAKTOR: Waldemar Gasper

ZESPÓŁ: Natalia Adaszyńska, Anna Bokiej, Melania Dzieduszycka, Jakub Ekier, Rafał Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kalicki, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Małgorzata Łukaszuk, Marta Makowiecka, Łukasz Małachowski, Agnieszka Piwowska (sekretarz redakcji), Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekieli, Wojciech Tomczyk.

WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bięczyk, Marta Bratkowska, Krystyna Choloniewska, Agnieszka Dybek, Grzegorz Filip, Krzysztof Koehler, Jacek Królak, Małgorzata Kruszewska, Marta Makowiecka, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Dorota Piwowska, Brygida Pütz, Bożena Szymula, Jacek Rujno, Mateusz Werner.

Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnog.

Redaktor graficzny: Marzena Włodarczyk. Korekta: Łucja Andrzejczak, Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.

Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.

Skład: „PRINT”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie możliwość zmiany tytułów nadesłanych tekstów oraz skrótów w publikowanych listach do redakcji.

Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

# TYGODNIK LITERACKI 19



# Polityka bez granic

**P**olityka bez granic. W mowie potocznej, w publicystyce i w wystąpieniach możnych tego kraju sens pojęcia polityki posiada nader wyraźny zakres. Obejmuje wszystkie te zachowania, poglądy, postawy, które wiążą się z władzą centralną, a więc z udziałem w podejmowaniu kluczowych decyzji dotyczących gospodarki kraju, stanowienia ustaw, zawierania układów międzynarodowych. Politykę uprawiają więc tylko te osoby, którym dane jest wstąpić na ten olimp władzy. O polityce rozprawiają ci, którzy mają pogląd na kwestię stosunków Polski z Niemcami czy Bułgarią. Polityka już tak nazwana i ograniczona tylko do tego wyższego kręgi wtajemniczenia, jawić się musi, z natury rzeczy, jako sfera dla zwykłego człowieka wysoka i od życia praktycznego oddalona. Jawić się musi często jako żywioł trudny i złożony, który wymaga tajemniczych zdolności i kompetencji. Musi być oddana ekspertom i znawcom.

Jej oddalenie budzi też obawy pośród nas małuczkich. Bo przecież ten, komu powierzono tak zasadnicze zadania, łatwo może władzy nadużyć, wdać się w jakieś matactwa i machlojki, a możliwości ma przecież ku temu niemałe. Sfera polityczności, tak pojęta i tak wysoko, bo ponad głowami ludzi ustawiona, musi rodzić nieufność, lęk czy nawet niechęć. Ci, którzy w niej pracują, tworzą niedostępną kastę. Im bardziej ludzie widzą w nich grupę oddaloną, tym częściej skłonni są uważać, że ich posunięciami rządzi tajemne i podejrzane motywy. Tym bardziej ta niedostępność kojarzyć się musi z przywilejami, wpływami, nader egoistycznymi pobudkami.

Udział tak zwanych zwykłych ludzi w polityce zaczyna i kończy się z oglądaniem

Wiadomości, lekturą porannej gazety, rozmową przy piwie i – rzadko – wyborami. A tak poza tym uważamy, że żyjemy sobie poza polityką, poza socjalizmem, kapitalizmem, poza demokracją, żyjemy swoimi kłopotami, miłościami, zakupami, pracą, samochodem.

Gdyby zapytać kogokolwiek u nas (mnie czy moich przyjaciół) czy płacenie podatków, przestrzeganie prawa, służba wojskowa, praca w administracji ma jakiś związek z polityką z pewnością powiedzielibyśmy: nie. To jest albo sprawa własnych kalkulacji albo przyjemności, może układów czy czego tam jeszcze. W każdym razie nikt ze znanych mi osób nie uzna, że płacenie podatku drogowego ma jakiś wymiar polityczny (nie mówiąc już o etycznym). Nawet służba wojskowa jest dla 99% osób uważana za fatum. Nie mówiąc już o pracy w urzędzie skarbowym czy w biurze meldunkowym.

Można chyba bez specjalnego ryzyka powiedzieć, że cała sfera naszych zwykłych zachowań, kłopotów urzędowych (jak mówi kabała) nie zalicza się do polityki. Nie ma też swego moralnego znaczenia. Jest sferą regulowaną wyłącznie przez różnego rodzaju formy przymusu (na każdym oficjalnym wezwaniu znaleźć można listę kar, jakie mogą spotkać adresata, jeżeli w określonym terminie nie zapłaci, nie przyjdzie itd.) i tego, co można nazwać obyczajem. Ale żeby nazywać je politycznymi, nikt na to by się nie zdobył.

Takie rozgraniczenie polityki od życia, nazwijmy je, zwykłego i codziennego, ma dwie proste konsekwencje. Jeżeli by zapytać, kto tak naprawdę robił ten socjalizm, kto tu rządził, to zwykle wskazuje się na Biura

Polityczne, tajne policje, generalicję. A reszta, czyli my, byliśmy poddaniymi, ofiarami. Ale zwykle ofiarami o tyle dziwnymi, że w wielu wypadkach, myślni ludźmi administrowali, my tworzyliśmy państwo, pracując w nim, wykonując jakieś zalecenia, nakazując, idąc do urn wyborczych. Okazuje się, że tak zwany socjalizm to nie było tylko kilka tysięcy osób („oni”), ale istniał on mocą zachowań milionów, które niezależnie od wewnętrznego oporu, obrzydzenia, zniechęcenia, były w nim, podtrzymywały, zachowywały ten reżim. I nie chodzi mi ani o to, że wszyscy jesteśmy winni i po uszy ubabrani w tym gnoju, ani nie mam zamiaru bronić tezy, że nie tylko pośród elity władzy należy szukać odpowiedzialnych za miniony stan rzeczy. W kwestiach moralnych niech wypowiedzą się zasłużeni moralisci. Rzecz jest prostsza. W języku polityki oznacza tyle: oddzielając politykę od życia codziennego popełniamy prosty błąd. Bo w polityce liczy się nie to, co w naszej duszy grało, bez znaczenia są nasze wewnętrzne dramaty. Liczą się jedynie fakty zewnętrzne. Ten system trwał przez nas, w nas i przez nas. Teraz możemy mówić, że Polacy nigdy socjalizmu nie przyjęli. Zdanie to jest być może prawdziwe w jakimś wymiarze duchowym. W wymiarze praktycznym nie jest prawdziwe. Jednak ten interes trwał, zmieniał się, czasem rodził przerażenie, czasem otwierała się perspektywa nadziei. W końcu ktoś tu zarządzał, kierował, władał. „Państwo to my” jest zdaniem niestety zwykle prawdziwym. Teraz więc, gdy przychodzi czas rozliczeń, warto o tym pamiętać. I pamiętać warto o świetnym zdaniu Havla, który wyjaśniał niechęć Czechów do dysydentów właśnie owym kacem moralnym ludzi, którzy jednak przez lata milczeli, przeczekiwali, byli obojętni. Tak chyba jest i w Polsce. Bo powtarzające się ataki na KOR, „warszawkę”, po części są właśnie skutkiem długoletniej bierności i obojętności niemal całego społeczeństwa. Teraz wiele osób próbuje odreagować te nieprzyjemne wspomnienia i albo szuka herosów, którymi może się zaslaniać, albo też atakuje dawną

opozycję, by zagłuszyć siebie. O takich to ludziach mówimy właśnie: apostaci.

Fakt tak radykalnego oddzielenia sfery polityki od życia codziennego sprawia, że większość naszych zachowań w instytucjach nie jest niczym uregulowana. Stanowi o niej żywioł obyczajowy. Tymczasem możemy na rzecz spojrzeć inaczej, bez popadania w totalitarne pojmowanie polityki. Płacąc podatki, stanowimy o budżecie państwa i tym samym więc zyskujemy prawo do tego, by wiedzieć, jak nasze pieniądze są rozdysponowane. Idąc do wojska – nawet dlatego, że chcemy uniknąć konfliktów – stajemy przeto, chcąc nie chcąc, po stronie cnot patriotyczno-państwowych. Wykonując swoje obowiązki nauczyciela, tworzymy system oświaty i po części wizerunek państwa. Tak więc wchodzimy do polityki bocznymi drzwiami. Zaczynamy ją uprawiać i być jej podmiotem. Państwo to my, powtórzmy, i to, jak każdy z nas zachowuje się w relacjach sformalizowanych, wyznaczonych potrzebami i powołaniem instytucji, określa naturę owego państwa. Państwo jest o tyle demokratyczne, o ile reguły demokracji, kompetencji i odpowiedzialności stanowią o zachowaniu moim i podobnych mnie istot.

Cierpimy często na swoistą schizofrenię, gdy na co dzień lekceważymy się prawo, a od święta krzyczymy demokracja. Gdy posyłamy dziecko na religię do szkoły, a potem, jak mówią wyniki CBOS, uważamy, że Kościół ma zbyt duże wpływy. Bo, gdy tylko inaczej będziemy politykę pojmować, rozszerzymy jej sens, zobaczymy swój prawdziwy w niej udział i co więcej, dostrzeżemy, że zakres tego, co stanowimy ulegnie rozszerzeniu. Polityka jest żywiołem wybierania i negocjacji, żądań i świadczeń, podejmowania zobowiązań i wybaczenia. Bierność, apatia, wycofanie, urąganie politykom i polityce jest też formą zachowania politycznego – nawet jeśli w ten sposób chcemy zamknąć się na trzy spusty w domu i nie mieć z tym bajzlem nic wspólnego.

Paweł Spiewak

